ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 34 22. VIII. 1936 r.

GERTRUDE MICHAELS

Gertruda Michael, gwiazda Paramountu, demonstruje bardzo piękny kostjum kąpielowy z białego satin.

FOT. „PARAMOUNT"

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 34 22. VIII. 1936

L. CHRZANOWSKI

Sojusz i samodzielność

Sojusz z Francją jest dla Polski nakazem historycznym.

Sojusz z Francją jest nakazem rozumu i serca.

Stawiamy serce na drugiem miejscu, bo w czasach obecnych nawet serce ma cenę, bo nie ono dziś decyduje w ideologji narodów.

A choć w stosunku do Francji serce Polski bije zawsze przyśpieszonym rytmem — to usuwamy je świadomie z naszego rozumowania. Serce dla wielu współczesnych, mocarstwowych czy „totalnych“ Polaków, stało się aparatem tak skomplikowanym, iż z jego nakazami nie potrafią się pogodzić. Walory serca, tak jak walory charakteru, „sposobu życia“, poprostu się dziedziczy! Tak jak dziedziczy się „zmysł“ estetyki i poczucie kultury.

Zostańmy więc w dziedzinie rozsądku i rozumu.

Naród Polski przyjął wizyty szefa sztabu armji francuskiej gen. Gamelin z ulgą i radością.

Był On dla nas drogim gościem, bo wizyta jego dokumentowała, iż tradycja przyjaźni, zbliżenia i sojuszu pozostała niezachwiana.

Rozumna tradycja wzajemnej pomocy i wzajemnego bezpieczeństwa została przypomniana. Rozmowy szefów armji gen. Gamelin i gen. Rydza - Śmigłego naród cały przyjął z entuzjazmem i zaufaniem. Nie mamy narazie dostępu do dokumentów, ani do dokładnych sprawozdań — nie wiemy o czem tam radzono. A mimo to rozmowy te napełniły społeczeństwo otuchą. Bo rozsądny obywatel polski wie, iż *obaj naczelni wodzowie radzili nie nad wojną, ale nad tem jak wojny uniknąć.* Bo zarówno Francja jak i Polska — to zasadniczo, z natury i własnego interesu dwa państwa antywojenne — pokojowe nie dla haseł, lecz dla swej racji stanu.

Tu biegnie wspólna linja rozsądku polsko - francuskiego sojuszu.

Jesteśmy państwami, broniącemi swego status quo terytorjalnego. Państwami wrogiemi jakiejkolwiek międzynarodowej awanturze, państwami dążącemi do konserwowania, a nie do zmian.

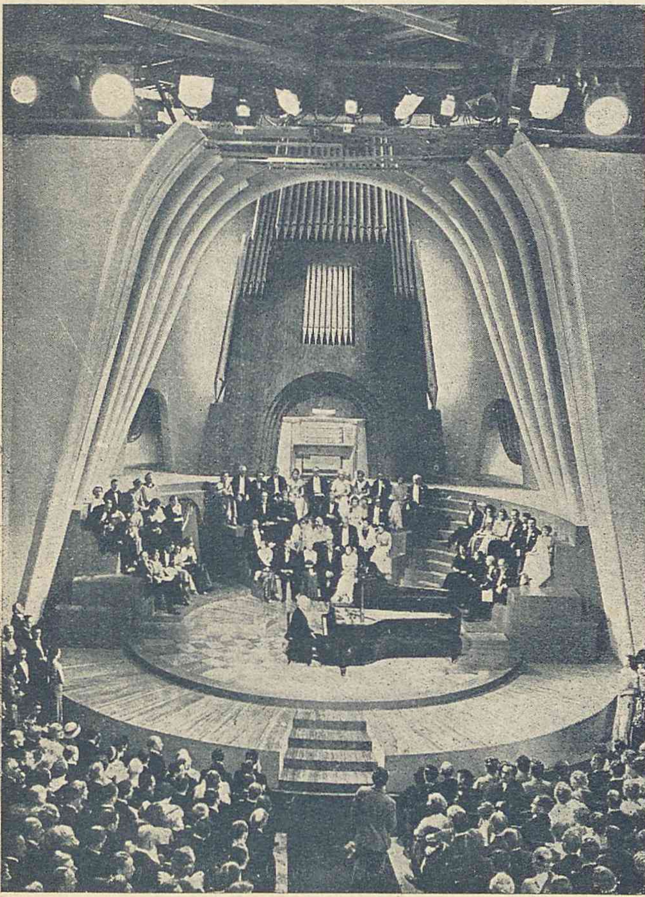
Im silniejszy jest sojusz francusko - polski, tem większe bezpieczeństwo świata. *Te dwie siły mogą paraliżować cudzą agresywność,* ale same — wspólnie czy oddzielnie — na podboje żadne nie ruszą!

Radość narodu polskiego z wizyty gen. Gamelin płynie z poczucia wzmożenia się bezpieczeństwa Polski. Mamy do zarejestrowania, że wbrew dotychczasowym pozorom chłód i zadąsanie nie utrwaliły się jako cechy stosunków naszych, że zatryumfował zdrowy rozsądek, który jest silniejszy od nowych flirtów, czy starych przysłów o bliskich „bratankach“.

Samodzielność międzynarodowej polityki polskiej musi być droga każdemu, to nakaz naszej Niepodległości.

Wiemy, że w stosunkach polsko - francuskich były różne fazy. Ale umiejętność zachowania samodzielności politycznej i nienadwyrężenia sojuszu, to właśnie umiejętność mądrej polityki.

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"



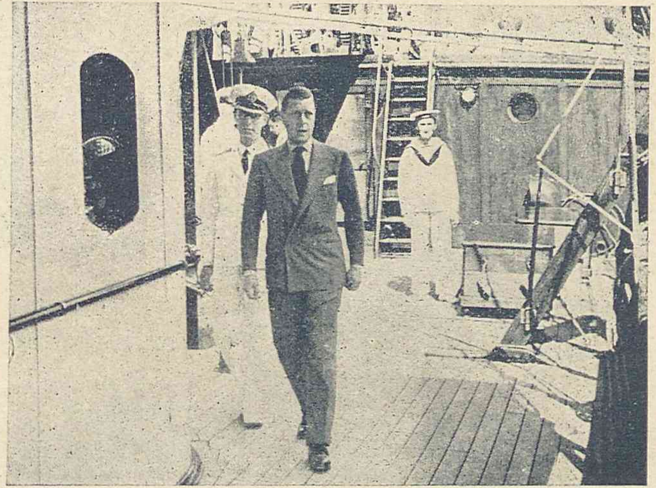
Ignacy Paderewski nagrywa obecnie w Londynie swój pierwszy film, zatytułowany „Sonata księżycowa". Nasze zdjęcie powyżej przedstawia jedną ze scen filmu w chwili gdy Mistrz Paderewski siedzi przy fortepianie.



Zdjęcie poniżej: w Berlinie podczas Olimpjady nasza ekipa jeździecka przedstawiona była min. Goebbelsowi. Obok stoi amb. Lipski.



Zdjęcie obok: światowy rekord fakira Gosha w Kalkucie: płynął on nawznak przez 72 godziny bez przerwy, mając obie ręce skute łańcuchem. Towarzyszący mu przyjaciel osłania go parasolem w chwili największego natężenia promieni słonecznych.



Zdjęcie powyżej: król Edward VIII na yachcie „Nahlin", na którym spędzi swe wywczasy na wodach morza Śródziemnego.



POŁÓW PEREŁ



Dwie wizyty

Najwyższy dostojnik wojskowy francuski przybył do Polski, aby złożyć wizytę naszemu najwyższemu wojskowemu dostojnikowi. Można śmiało powiedzieć, że rozmowom jen. Gamelin z jen. Rydzem Śmigłym towarzyszyła niekłamana, ogólna głęboka sympatja całego społeczeństwa polskiego.

Tego samego dnia w Berlinie wicem. Szembek przyjęty był na audjencji u kanclerza Hitlera. Akurat tego samego dnia... Co za zbieg okoliczności...

Niestety, nie umiemy powiedzieć, jakie natężenie sympatji naszego społeczeństwa towarzyszyło temu kollokwjum.

Ślub „Siostry Sjamskiej"

Pisma doniosły o ślubie jednej ze zrośniętych „siòstr Sjamskich", panny Violet Hilton, z panem James Moore. Były nawet fotografje, a jakże. Druga siostra, bokiem z oblubienicą zrośnięta, mimowoli asystowała bardzo blizko: stała też przy samym ołtarzu, oczywiście. Pan Hilton tak jakby poślubił dwie osoby odrazu.

Ślub z dwiema naraz — cóż, jeżeli pastor się zgodził — czemu nie?

Ale co potem?

Ta druga zawsze razem?

W każdej chwili — dniem i nocą... Czy się pan Hilton zastanowił?

Jak to wogóle pogodzić z kodeksem, który ludzi karze za — bigamję?

Jeszcze jedna „nędzarka"

Piszemy jeszcze raz — i do znudzenia pisać będziemy — o tych pseudo-nędzarzach, zawodowych żebrakach, po których śmierci okazuje się, że byli bogatsi od ludzi, którzy im dawali jałmużnę.

Niejaka Jaroszczykowa wpadła pod pociąg na Śląsku. Znana to była nędzarka. Z żebraniny utrzymywała się od lat. Rentowne to być musi zajęcie, skoro w łachmanach, w jakie była odziana, policja znalazła przy zmarłej okrągłą sumkę 27.300 złotych w banknotach polskich.

Dobrze, że nie w dolarach...

Nasi wójtowie

Bywają różni. Zdarzają się i porządni i uczciwi, i nawet do swego odpowiedzialnego stanowiska przygotowani. Ale bywają i tacy: w powiecie dubieńskim ARESZTOWANO ODRAZU SIEDMIU WÓJTÓW — (na dwunastu, urzędujących w powiecie). Niezły procent. Aresztowano — za „afery". Jak pisze w korespondencji z Wołynia „Goniec Warszawski" — wójtowie ci byli narzuceni ludności przez starostę. Starosta Sittauer-Bonkowicz został zawieszony w czynnościach. Ale kto przywróci ludności tamtejszej — ludności kresowej, mieszanej, i z natury rzeczy skłonnej do krytycyzmu — kto jej przywróci jakie takie zaufanie do wszelkich wogóle władz,,?

Gdzieindziej — mianowicie w gminie Poździacz, pow. Przemyskiego — jak donosi I. K. C. — malwersacje sekretarza gminy, Głowacza, popełniane stale i systematycznie, możliwe były dzięki temu, że... *wójt był analfabetą!*

Tu się naprawdę kończy możliwość rozumienia.

Wójt — „osoba urzędowa" — mająca nieustannie do czynienia z „papierami", podpisująca tych papierzysków całe mnóstwo — wójt może być analfabetą?

Czy aż taki panuje u nas analfabetyzm?

Mówi się: „fatum"

Czas już powiedzieć jasno, co sądzić należy o szaleńcach, ginących z własnej winy w katastrofach samochodowych. W ubiegłym tygodniu poniósł śmierć na miejscu wysoki urzędnik w zderzeniu samochodów pod Orłowem. Pięć osób ciężko poranionych odwieziono pozatem do szpitala.

Mówi się: „fatum".

Przepraszam: jako stary, doświadczony szofer, przyczynę tej katastrofy nazywam zupełnie inaczej. Mówię: to jest pozbawione poczucia odpowiedzialności szaleństwo.

Bo zważmy: człowiek miał prawo jazdy zaledwie od kilku tygodni. Kto sam prowadzi auto, wie co to znaczy: że się właściwie ma dopiero „zielone" pojęcie o kręceniu kierownicą. O doświadczeniu i opanowaniu maszyny mowy wogóle niema.

Taki człowiek ładuje do swojej — przepraszam, nawet nie swojej, a pożyczonej maszyny pięć Bogu ducha winnych ofiar — i puszcza samochód z szybkością 90 kilometrów na godzinę!

Jeżeli się w tych warunkach czasem uda — i bez katastrofy się obejdzie, to znak szczególnej łaskawości losu. W normalnym trybie rzeczy — w takich warunkach katastrofa nastąpić *musi*.

No i nastąpiła.

Tylko mi nie mówcie o „fatum".

Jest tragedja pozostałej rodziny.

Tragedja niewinnych, ciężko poranionych pasażerów. Ale „fatum" niema.

Tylko logiczne następstwo zupełnego braku odpowiedzialności.

Od teorji do praktyki...

„Co napiszesz piórem — tego nie wyrąbiesz toporem" — mówi rosyjskie przysłowie.

Czytamy — (później powiemy, gdzie) — takie złote słowa:

...„Mści się to na teatrze samym, który... ster roboty najzupełniej stracił. W ostatnim roku drepcze on już z jakimś rozbrajającym uporem w kałuży fars francuskich, angielskich i amerykańskich, zaśmieca się przeróbkami z powieści. „Kładzie" prawie z reguły kilku do-

rywczo wystawionych autorów polskich, jest raczej hotelem, hotelikiem nawet, a nie domem sztuki".

„Czy jest na to wszystko jakaś rada? Jest, ma się rozumieć, jeno bardzo trudna do przeprowadzenia". JEŚLI SIĘ OTWORZY WROTA TEATRU MIEJSKIEGO POLSKIM AUTOROM, DAJĄC IM CHOĆ JEDNĄ CZWARTĄ TYCH PRAW, KTÓRE DOTĄD MAJĄ W NIM OBCY HECARZE... RADA SIĘ ZNAJDZIE SAMA PRZEZ SIĘ".

Ach, znowu wywlekli jakiegoś wroga T. K. K. T. — powie czytelnik.

Ale doda: — Ten krytyk jednak pisze z sensem. Właściwie wszyscy tak uważamy. Kto też to może być?

Kto? — Zdradzę państwu tajemnicę: to pisze *JULJUSZ KADEN BANDROWSKI!*

Tylko — niestety — nie w roku 1936 i nie na stanowisku „eminencji" T. K. K. T.

Pisze tak — w roku 1914, omawiając w „Widnokręgu" życie artystyczne Krakowa. Naturalnie o subwencjach rządowych ani się wtedy śniło. Zarzuty swoje stawiał Kaden teatrowi, który musiał iść o własnych siłach — i to w małem mieście, gdzie premjery dawać trzeba co tydzień.

W Warszawie, w roku pańskim 1936, mamy teatralną cieplarnię, zwaną T.K.K.T. — i jego pięć teatrów. Kaden na czele. Ileż sztuk polskich autorów wystawił ten szermierz polskości w czasie swej w Kate-teatrach dyktatury?

W ciągu dwuch lat — raptem sztuk polskich 30. Przeciętna roczna na każdą scenę—*3 sztuki polskie.*

Z tego na sezon 1936 sztuk polskich *nowych* zagrano... ogółem 5.

Słownie: PIĘĆ.

Na każdy teatr — po jednej.

Może to jest aktualne?

Generał Foy powiedział: „Francuzi dezerterują z koszar, ale chętnie podążają na front, jeżeli mają po temu dostateczne powody natury moralnej".

Wielka wojna roku 1914, jak wiemy, w pełni potwierdziła to mniemanie.

W sprawie Parylewiczowej ruch

Zawieszono w czynnościach jednego sędziego okręgowego, przeciwko kilku osobom na terenie apelacji krakowskiej wytoczono dochodzenie dyscyplinarne. Afera zatacza szerokie kręgi.

Nędzna złodziejka, jak ostatnio podaje aj. „Iskra" nietylko brała łapówki, ale wyzyskując swe stanowisko, okradała instytucje społeczne, w których „pracowała". Między innemi ukradła większe sumy w Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet i w „Rodzinie Sądowej".

Być siostrą człowieka, który zginął tragicznie na stanowisku, jako polski minister.

Zawdzięczać swym węzłom rodzinnym wszystko — nie wyłączając fenomenalnej karjery męża.

I — kraść grosz publiczny.

I — brać łapówki.

Na to niema określenia dość mocnego.

Na to niema w kodeksie moralnym dość wysokiej kary.

„Polska Partja Radykalna"

Było dużo szumu. Było jakieś własne pisemko. Były jakieś programy i jakieś prezydja. Niewiadomo tylko, czy byli wogóle poza prezydjum jacyś członkowie partji. Nagle — bomba.

Jedno z pism codziennych zamieszcza list otwarty trzech byłych członków prezydjum, którzy oświadczają, że z „partji" ustępują — *„naskutek zorjentowania się, że odpowiedzialni kierownicy PPR. rzucając szczytne hasła naprawy ustroju społecznego w Polsce, liczyli jedynie na obałamucenie opinji publicznej i wyciągnięcie z tej akcji możliwych korzyści osobistych".*

W dalszym ciągu swego oświadczenia, panowie ci nazywają ową partję *„niezdrowem ugrupowaniem nieodpowiedzialnych deklamatorów z ulicy Szopena".*

Taka młoda — a już taka „w honor szarpana", jakby powiedział Wiech.

A może się tamci panowie odezwą?

Bo znowu o „wychodzących" także dziwne rzeczy czytamy w „Wiem Wszystko".



„Jak to na wojence ładnie"...

Oficjalne dane, ogłoszone przez Włochy, o stratach poniesionych podczas najazdu na Abisynję, brzmią niezwykle pocieszająco: okazuje się, że w najcięższych, jakie sobie można wyobrazić, warunkach terenowych i klimatycznych, w ciągu wojny trwającej półtora roku, od 1 stycznia 1935 do 31 lipca 1936 włosi stracili ogółem — 2.736 ludzi.

Ilość robotników, zmarłych w tymże czasie na tym terenie wskutek wypadków lub chorób — wynosi 512.

Słowem — żyć, nie umierać!

I choćby codzień zaczynać nową wojnę, jeżeli to pociąga za sobą tak minimalne ofiary...

Nowy rekord Ameryki

Myślą państwo, że na Olimpjadzie? Tym razem — nie.

Całkiem inna branża.

W Montrealu, w Kanadzie, złodzieje ukradli osiem parterowych domków.

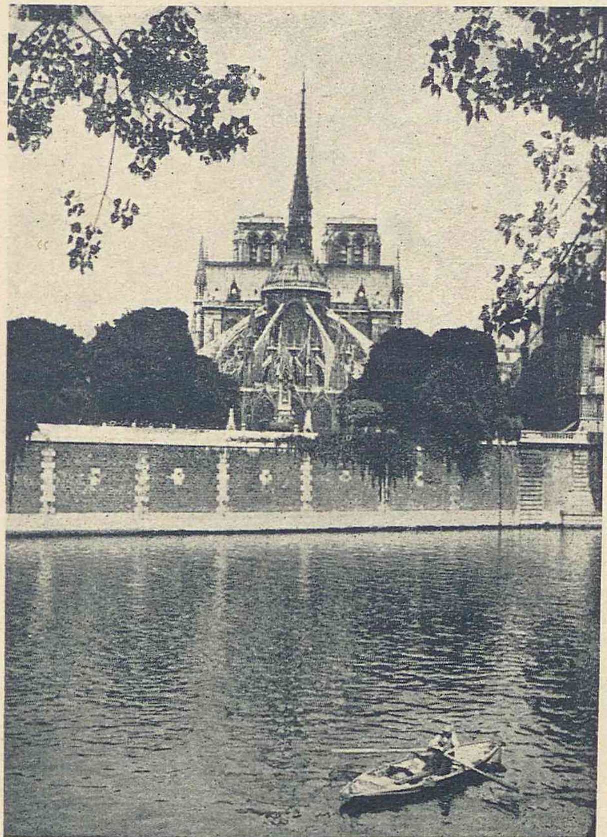
— Okradli?

— Nie, proszę państwa: ukradli. Poprostu rozebrali na kawałki, a korzystając, że domki położone były na przedmieściu i że właściciel miesiącami do nich nie zaglądał — wywieźli najspokojniej na ciężarówkach.

Nasz słynny Cynjan — benjaminek warszawskich kanciarzy, kradnący kilometry szyn tramwajowych — to przy kanadyjczykach, okazuje się, wogóle „szczeniak".

Na praktykę do nich powinien jechać jaknajprędzej.

Uparty nurek



...Żegnaliśmy Paryż świtem białym

K. MOCZARSKI.

ASFALT — SŁOŃCE — I MOTOCYKL

Wiraż! Nachylenie ostrożne, lecz jaknajwiększe. Gaszę motor na chwilę przed pochyleniem się. Potem, po ułamku sekundy, wypryskujemy z łuku wściekłym rykiem gazu, dodanego na pierwszych już metrach zakrętu.

Wiatr wrywa się w piersi, całuje serce. A serce otumanione, ogłupiałe szybkością, chce nadążyć za rytmem motoru, ale nie umie, nie może.

Przejeżdżamy drogie mieszczuchom paryskim Fontainebleau. Tu żyje awanturniczy trud Napoleona, co za godło wziął sobie pszczołę, pracownicę niezmordowaną. Od Fontainebleau aut mniej. Właściwie tam kończy się dopiero Paryż, z którego życiem tak są związane podmiejskie restauracje, hoteliki spokojne i *niesportowe* niedziele, spędzone mniej lub więcej bogobojnie na łonie przecywilizowanej natury.

Wczesną jeszcze godziną uderzamy w klakson, zganiając z bruku pierwszych przechodniów miasteczka *Montereau*. Zjeżdżamy w dolinę l'Yonne. Na 113-tym kilometrze zaciekawienie budzi *Sens* ze swą katedrą. Bawimy

żegnaliśmy Paryż, przed tą motocyklową podróżą, zamętem półprzespanej nocy.

Z dusznego latem „miasta Francuzów" poczciwy „Monet Goyon" wywiózł strudzone myśli w asfalty szos doskonałych, w słońce Południa, w sportową przygodę. Był świt białawy, taki zwykły ranek paryski, pocięty wachlarzem polewaczek ulicznych, gdy na Porte d'Italie tankowaliśmy benzynę. — 12 franków bidon pięciolitrowy. Potem kombinezony przytulne zapiąć, maszynę „obmacać", okulary na oczy zasunąć i... gaz!

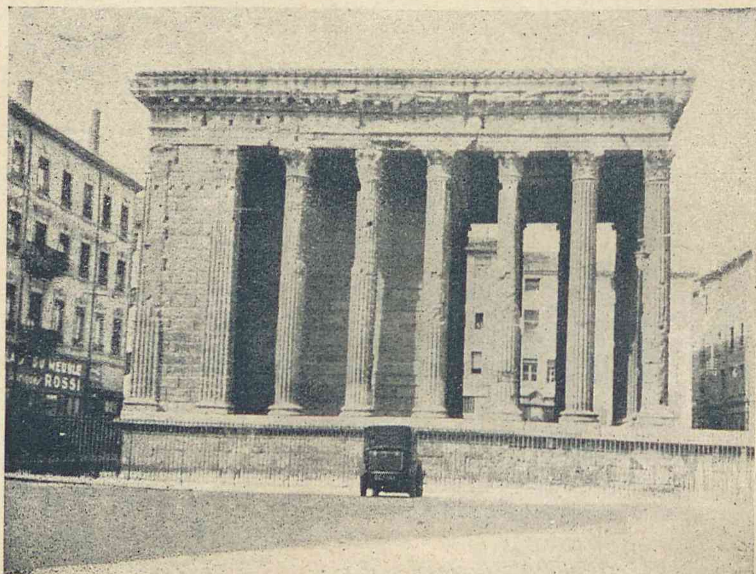
Ale powoli rozgrzewam motor. Słucham jak gada, jak trzeszczą sucho culbutery. „Monet" idzie swym szwajcarskim silnikiem pierwszorzędnie. Ryk, zdławionych tłumikami, wybuchów tętni równo melodją, tak znaną, tak kochaną, że śnić się może nocami motocyklowy głos stali, benzyny i powietrza.

Mijamy kiepskie, brukowe, pokręcone szynami tramwajowemi drogi podparyskich „banlieue".

A potem już — Route Nationale No 7. Przez Fontainebleau!

Drogi francuskie — to poematy dla motocyklisty! Asfaltem wyprasowane wstęgi budzą prostemi, dalekiemi wybiegami tęsknotę za kilometrami na horyzontach wiecznie pożądanych, stale niedościgłych, a — ciągle w ucieczce nieskończonej.

Walimy pełnym gazem. Maszyna trzyma drogę dobrze.



Vienne dawna stolica Allobrogów
Rzymska świątynia Augusta i Liwji

kilkanaście minut w *Auxerre* — mieście zgonu Mochnackiego, mijamy różaniec miasteczek i po ciężkiej słońcem drodze wjeżdża zsapany, zakurzony motor do starego, uniwersyteckiego *Dijon*.

W małej cafe'jce tego miasta niebiesko ubrany, wąsaty robociarz na wieść, żeśmy Polacy, woła z radością: „Vive la Petite Entente! Vivent les petits pays!" Oburzeni, zarzucamy zdziwionego wąsacza argumentacją faktów i bolesnych, dla ich szowinizmu narodowego, ukłuć. Kończy się zgodnem zapiciem obecnych, kolejkami białego i czerwonego wina, — pod nasze państwowe kolory.

Od *Dijon* niesie nas motor posłusznym biegiem swych czterech koni przez sławne winnice *de la Côte d'Or*. Tablice orjentacyjne na całej trasie Paris — Nice doskonałe, sypiąc nazwami starych win francuskich: *Nuits St. Georges, Pomard, Volnay* i t. d., wywołuje miłe dreszcze i chęć „zwiedzenia" tych miejscowości, znanych nam dotychczas tylko z etykiet butelkowych.

Jednak Lyon dzisiaj czeka. Więc zostawiamy te „płaskie" zachcianki za nami, razem ze wspomnieniem młodej francuski, która posłała nieznanym wędrownikom swój uśmiech białozębny, z pierwszego piętra jakiejś willi w *Beaune*, gdzie rosły — pamiętam — żółte, drobne kwiaty.

Kwiatów jest dużo w tych małych, czystych miasteczkach, wyciągniętych wzdłuż szosy. W ulicach przejazdowych starzy francuzi wysiadują ławki przed domami o zapuszczonych żaluzjach. Gorąco kolebie ciszę wczesnego popołudnia. Motor gra pełnym gangiem. Huk jego zda się rozwalać ściany wąskich pasaży i uszy zacnych „citoyens". Walimy tak asfaltami przez pola uprawne, pełne nadziei bliskiego winobrania. Czasami tylko odpoczynek krótki: to zdyszany motor karmimy benzyną z czerwonej pompy, lub fotografujemy jakiś osobliwy motyw okoliczny.

Pod wieczór przybywamy do Lyonu.

Lyon. Miasto jedwabi, grubego Herriota, marnych bruków, biednego robotnika i cudownej panoramy z „Fourvière'y" (bazylika na górze 175 mtr. ponad Saôną). Szybko zwiedzamy miasto, a potem — sen nas złapał w hotelu jeszcze wczesną godziną, choć nad Lyonem księżyc wisiał, — jak w teatrze — białym dyskiem i pokus tyle było pożądliwych.

W drugim dniu wędrujemy doliną Rodanu. Szosa biegnie przy rzece, błyszczącej słońcem. Krajobraz inny od okolic podparyskich. Powietrze pachnie południem. Często jakieś stare „chateau" rozsiada się zbyt po pańsku, (jak na Trzecią Republikę), kokietując most, podparty jednym tylko filarem — konstrukcja stale tu spotykana. — i kominy nowoczesnych fabryk, i porozrzucane wszędzie „ruines romaines".

Południe Francji, dzięki doskonale zachowanym budowlom z czasów latyńskich okupacyj, przypomina zwiedzającym, że *Rzym* tu budował drogi, akwdukty, areny, świątynie. Rzym dał fundamenty francuskiej kulturze. Rzym gospodarował jak chciał, trzymając Galię w ryzach zbrojną pięścią swych legjonów.

Pamiętam każde z tych miasteczek cośmy je, zda się, *przelecieli* wzdłuż Rodanu.

Czarownie położone antyczne *Vienne* — pierwsza dla paryżanina placówka rzymskiej architektury — i *Valence*, i *Montelimar* — kraj nugatów.

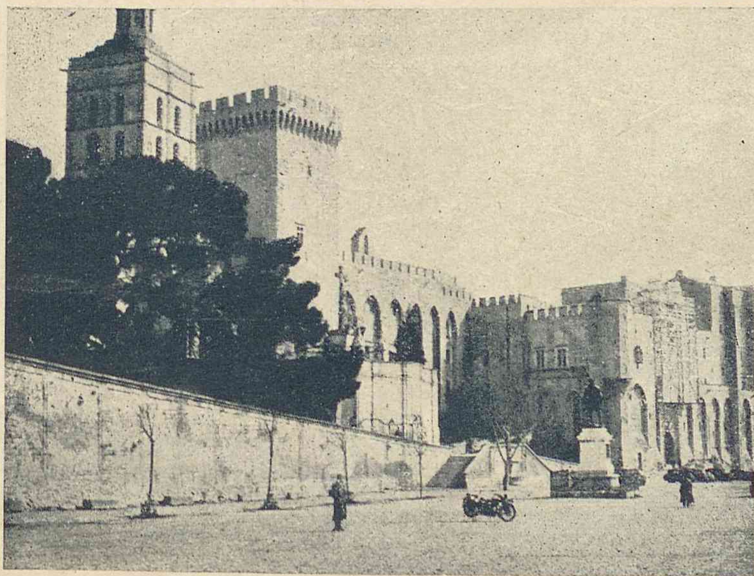
I studencko — prowizoryczne śniadanie, — pamiętam, — na kamiennych stopniach teatru cesarza Adriana w *Orange*, gdzie jeszcze dzisiaj 12 tysięcy widzów może oglądać spektakle pod gorącem niebem Prowancji.

Albo wzgórza Alp Delfickich. Romantyczne. Dalekie. Siwiejące...

I sierżanta spahisów przywodzę na myśl, krakowianina Szmita, co emigrancką przygodą lub biedą rzucony w garnizon afrykańskiego pułku w Vienne tak się wypytywał o Polskę, o Kraków, dawno niewidziany.

Dalej *Avignon* — siedziba papieży — „naszych francuskich papieży" — jak z przechwałką w rozpitym głosie oznajmił stadku turystów przewodnik (pyszny typ prowansalczyka!) po zamku. Mury potężne, blankami ukorowane. Kamienne bastjony. Warownia wojującego chrześcijaństwa tak przygniata małość szarego człowieka, że z „zaczarowanego kręgu Avignonu" uciekamy przez *Nimes* — ten wspaniale zakonserwowany „Rzym Francji" — do *Arles*, znanego z pięknych kobiet, z walk byków i z bardzo wielu zabytków architektury antycznej. Coprawda w ogromnych arenach fotografujemy tylko afisz „Grand Corrida", ale zato na każdym prawie budynku w Arles możnaby ponaklejać kartki z napisem: „made in Roma".

(D. c. n.)



Avignon — Zamek papieży

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

EFEMERYCZNE BÓSTWA

Bożyszcza wieku XX — to, jak wiadomo: „gwiazdy" filmowe i „asy" sportu.

Gwiazda filmowa, według ostatnich obliczeń fachowców, „kończy" się najdalej po sześciu latach występowania. „As" sportu potrafi się skończyć jeszcze o wiele prędzej. Jedno naderwane ścięgno — a wczorajsze bożyszcze spada do rzędu anonimowych, nikomu niepotrzebnych, życiowych wykolejeńców.

Zapewne — w każdym zawodzie zdrowie jest potrzebne. A tam, gdzie narzędziem pracy jest właśnie organizm człowieka — uszkodzenie tego narzędzia musi powodować przymusową bezczynność.

Tak jest — ale tylko do pewnego stopnia.

I tylko w rejonach działalności najniższych kategorji.

Pod-ludzkich, powiedzmy.

Bo *pełna* działalność człowieka — działalność oparta nietylko o siły fizyczne ale i o *twórczość duchową*, od pierwszej lepszej złamanej goleni nie zależy.

Beethoven — już jako człowiek *zupełnie głuchy* stworzył swe arcydzieło, IX Symfonję.

Michał Anioł — *pokraczny garbus* — napięciem woli, nie siłami fizycznemi sprostał malowaniu Sykstyny.

Henryk Heine — dotknięty *paraliżem postępowym* — pisał jeszcze ciągle najpiękniejsze liryki świata.

Sara Bernhardt — jako zgrzybiała staruszka, *po amputowaniu nogi* — występowała na scenie, wzruszając publiczność niemniej, niż w latach świetności.

Chopin — niemal całe życie chory, cierpiący *męki nieopisane* w ostatnich latach życia — nie ustawał ani na chwilę w swej ciągle jeszcze niedoścignionej, jedynej w dziejach twórczości.

Mickiewicz ślepy na jedno oko, albo Dante bezręki, a Homer kulawy — byliby równie wielcy, a dzieła ich równie wieczne.

Takie były bożyszcza ludzkości — dawniej.

■

Wiek XX — wiadomo, lubi szybkość, maszynę, rekordy. Więc postawił na piedestale sportowca.

Tylko, że bóstwo to bardzo nietrwałe. Jeden nieostrożny ruch, jedna pęknięta chrząstka— ach, Boże, jeden nie w porę zjedzony befsztyk — i nieszczęście gotowe!

„Król bieżni", czy „Rekordzista skoku", czy „As rakiety", albo „genjalny" kopacz piłki — spada z piedestału na łeb na szyję.

Wystarczy nawet, aby gdzieś z murzyńskich plantacyj bawełny przypędzono paru djabłów, półdzikich i oczywiście fizycznie niemal jeszcze zwierzęcą sprawnością rozwijających, — a już wczorajsze „bożyszcza" sportowe lecą w gruzy.

Stało się tak przecież poczęści na tegorocznej Olimpjadzie w Berlinie, gdzie czarne prymitywy — pod flagami swej „ojczyzny", Stanów Zjednoczonych — o, ironjo, biły na łeb wszystkie białe bóstwa i kolejno strącały ustalane rekordy. Podobno nawet „biały człowiek" miał się troszeczkę zbuntować: pokonani w biegach i skokach sportowcy wyrażali jakoby mniemanie, że murzynów nie należy dopuszczać do walki — bo *walka z nimi jest nierówna.*

Oczywiście!

Gdyby spróbowano do następnej Olimpjady wytresować w biegach i skokach gdzieś w cichości kilka małp afrykańskich — kto wie, czy nie pobiłyby wszystkich rekordów świata? Dowiodłyby wtedy może człowiekowi, że dość śmiesznie umieścił swoje ambicje i że jakieś sobie dziwne poustawiał bożki...



Czarny zwycięzca i biały pokonany

Nie chodzi tu bynajmniej o „utrącanie" sportu. Jest to potężny akumulator radości. Jest to pozatem czynnik wychowawczy nietylko fizyczny — nieocenionego znaczenia. Zdrowotnej wartości sportu w naszej dobie mechanizacji życia i nieznośnych warunków egzystencji — też nikt przytomny nie będzie podawał w wątpliwość. Ale może przesadzono tu krzynkę. A raczej — spaczono piękną skądinąd ideę.

Nawet dzieci wiedzą, że już rzymianie wielbili sprawność fizyczną i korzyli się przed siłą.

Ale wtedy mawiano: „*Mens sana in corpore sano*". Zdrowa dusza w zdrowem ciele.

A dziś?

Najczęściej, jak wiadomo, zdrowe ciele w zdrowem ciele.

I żeby chociaż w zdrowem...

■

Ciało sportowca, według ideału helleńskiego, powinno być nietylko silne, ale i piękne. Ciało sportowca nowoczesnego — sportowca - bożka, sportowca - rekordzisty — jest przeważnie szpetne. Sportu nie traktuje się dziś naogół jako środka do celu, ale jako cel sam w sobie. Tymczasem celem powinien być harmonijny rozwój całego ciała i zrównoważenie przez wysiłek fizyczny nadmiernego wysiłku umysłowego a zwłaszcza nerwowego, jakiego od nas wymaga życie nowoczesne.

Tylko sport tak pojęty — to prawdziwy sport amatorski. Nie dba on o to, czy ktoś skoczy o centymetr wyżej. Ale dbać będzie napewno, aby skoczyć — pięknie.

Tłum jednak nie jest ciekaw takiego sportu. Taki sport — jest za mało efektowny. Tłum żąda bardziej emocjonujących circenses. Więc je ma. Rekordzista — bożek i niewolnik tłumu — z krzywdą już nietylko dla swych walorów umysłowych, ale i z wyraźnym uszczerbkiem dla swych możliwości fizycznych — stara się dać więcej niż może.

Tłum ubóstwia maszynę, bo

dziś osiąga ona 100 kilometrów na godzinę — a jutro, po dokonanych ulepszeniach — osiągnie 150. Tego samego żąda tłum od żywych maszyn, które ku swej zabawie wypuścił na stadjony i bieżnie. Tylko, że tutaj nastąpiło przeliczenie się z możliwościami: ciało człowieka nie ulepsza się z roku na rok — jest ono takie same dziś, jak przed czterema tysiącami lat. A rekordy dzisiejsze — jeżeli nawet są wyższe od osiągnięć greckich atletów — ustanawiane są niewątpliwie kosztem piękna i zdrowia. Czyli w *jaskrawej sprzeczności z samem założeniem sportu.*

Dlatego biegacz na mecie upada i zwiniętego w łachman wynoszą go do szatni. Dlatego wioślarz mdleje i towarzysz oblewać go musi zimną wodą. Dlatego skoczek kończy atakiem sercowym, a miotacz zerwaniem mięśnia. Dlatego na boiskach i ringach panuje naogół nie dżentelmeństwo i braterstwo, ale brutalność i dzikie dążenie do zgnębienia rywala. Dlatego bokser miażdży nos przeciwnikowi, hokeiści gruchocą sobie kości, footbaliści podstawiają sobie nogi, cykliści łapią konkurentów za siodełko, a biegacze „zamykają“ w biegu tego, który jest dla nich groźny.

To wszystko jest — degeneracją sportu, nie jego rozwojem.

Więc może to lepiej, że zbiorowy obłęd, zwany Olimpjadą, odbywa się tylko raz na cztery lata. Strach pomyśleć, coby było, gdyby się to powtarzało corok!

Rezultaty byłyby tak opłakane, że badając szczątki człowieka wieku XX-go, antropolog wieku XXII-go orzekłby zapewne: „Jednostronna, nierozumna hypertrofja niektórych mięśni, przy całkowitym zaniku mózgu“.

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK

CZŁOWIEK „INTELIGENTNY"

Powszechną miarą inteligencji jest u nas cenzus naukowy. Ściślej mówiąc świadectwo ukończenia czterech, sześciu lub ośmiu klas, korespondencyjnych kursów podwójnej buchalterji, jazdy samochodowej, bieliźniarstwa, tudzież zawodów pokrewnych.

Człowiek opatrzony takim glejtem automatycznie staje się inteligentem, co stwarza mu uprzywilejowaną pozycję społeczną i towarzyską. Jego wiadomości są naogół skąpe, nie znaczy to jednak, aby „inteligentny“ jegomość nie potrafił wszcząć interesującej rozmowy na dowolny temat. Interesuje go bowiem wszystko: — Taki już jestem, powiada o sobie — i dodaje: „— już w dzieciństwie zdradzałem“...

Każdy małoletni szczeniak zdradza w dzieciństwie niezwykłe zdolności i zamiłowania, ale człowiek „inteligentny“ robił to metodycznie i z rozmysłem. Jeśli zbierał n. p. guziki, to segregował je według koloru, gatunku, wielkości, katalogował, spisywał i inwentaryzował. Zamiłowanie do systematyczności zachował także w wieku dojrzałym. Wszystkie wiadomości ma poukładane w szufladkach — wystarczy nacisnąć guzik, aby szufladka z gotową sentencją wyskoczyła na zawołanie.

Słyszy dajmy na to, że rozmawiają o współczesnej architekturze. Architektura to Corbusier, więc wali: Corbusier, proszę państwa, tworzy nie domy a maszyny do mieszkania. Szufladka się wypróżniła, a człowiek „inteligentny“ zbiera niemy poklask tłumu. Więcej nic nie wie, nie interesuje go to zresztą. Do dalszej rozmowy nie da się łatwo wciągnąć. Woli zmienić temat i wypłynąć na szersze wody, a najszerszą wodą jest literatura. Tu sobie można pofolgować dowoli, szufladki kryją coprawda jedynie sprecyzowane formuły, ale wszelkie warjacje na temat są w pewnych kołach, zbliżonych do inteligencji, jedynie znamieniem oryginalności i niezawisłości poglądów.

Pierwszy lepszy katalog wypożyczalni książek może być niewyczerpanem źródłem wiadomości. Zwykle zaczyna się od pytania: — „Czytał pan ostatnią rzecz Huxley'a? (wymawia z angielska Haxlii). — nie? Świetna książka, powinien pan koniecznie ją poznać“. Przymiotnik świetna zawiera w sobie całą opinję człowieka „inteligentnego“ o dziele angielskiego pisarza. Sam tego zresztą nie czytał, ale opinja jest trafna. Wystarczyło mu spojrzeć na numer pisma literackiego: jeśli przy recenzji była fotografja autora, książkę z całą pewnością można uznać za dobrą, jeśli nie było — „Huxley się skończył“.

Wyrażenie „skończył się“ przyczepia do każdego. Kucharski przegrał w Londynie — skończył się, aktor, który przez cały sezon nie mógł występować — skończył się. „Inteligentny“ bałwan nic nie wie o istotnych przyczynach nieobecności artysty, nie wie, że nieszczęśliwy człowiek leżał przez cały rok w szpitalu, dla niego to bujda. — Skończył się, panie i tyle. Nie chcą go już angażować.

Poglądy zmienia zależnie od konjunktury. Jeśli na rynku ukazał się przekład Mauriaca — jest żarliwym katolikiem, jeśli Aleksego Tołstoja — gloryfikuje ustrój komunistyczny.

To samo jest z polityką. Wychodząc z założenia, że ten ma rację, kto jest u steru, staje się raz zwolennikiem inflacji i etatyzmu, to znów zniesienia autonomji wyższych uczelni, lub liberalnej cenzury i punktualności urzędowania.

Wykształcenie polityczne czerpie z gazet. Artykuł wstępny poważnego dziennika, t. j. takiego, który kosztuje 20 groszy, jest dla niego ewangelją i skarbnicą wiedzy hermetycznej. Z drobnego, nieznacznego wypadku wysnuwa się splot skomplikowanych powikłań i groźnych prognostyków. Bowiem „inteligentny“ człowiek lubi politykować, lubi także popić, a jak popije rozwiązuje mu się język i — nie bacząc na szufladkową systematykę, rozwija własne koncepcje, burzy stare idee, stereotypowe opinje: nareszcie jest sobą. Może się wreszcie wyżyć i wyszumieć wywnętrzyć i wybebeszyć. Płacze przytem i narzeka, że Polska ginie, że redukcje, że podatki, pożyczki i daniny; odkrywa swoją duszę i wówczas dopiero jest szczery, kiedy widmo zmian ustawy emerytalnej przesłoni mu wszystkich Huxley'ów i Mauriac'ów.

Jeśli chcecie naprawdę poznać człowieka „inteligentnego“ — postawcie mu wódkę.

Cudeńka w świecie sztuki i nauki

(O tem, jak własna żona krajała Maneta, jak pisarz André Malraux był złodziejem, i jak francuska dziennikarka wywiodła w pole Freuda)

Tak, proszę państwa, własna żona krajała Maneta.

Sadystka — powiecie? Niezupełnie. Poczciwa nawet kobiecina. A krajała, rzecz jasna, nie swego męża ale ... jego dzieła. I to przeważnie już po jego śmierci.

Przypomina o tem Ambroise Vollard, handlarz obrazów i przyjaciel mistrza, z okazji niedawnej wspaniałej i tryumfalnej wystawy dzieł Maneta w Paryżu.

Po śmierci artysty Vollard często bywał w domu pani Manet, starając się pomóc jej w rozwikłaniu niezawsze łatwych spraw finansowych. Wdowa po wielkim artyście była w kłopotach materjalnych, co skłaniało ją do wyprzedawania pozostałych po Manecie szkiców, rysunków i obrazów w sposób conajmniej lekkomyślny. Naradziwszy się kiedyś ze swym bratem, który był akurat takim samym „znawcą" sztuki, jak ona, pani Manet uznała, że jeden z wielkich obrazów olejnych, pozostałych w pracowni, miał bardzo małą wartość, gdyż nie był „wykończony". Obraz był olbrzymi, zajmował w pokoju całą ścianę, więc go zdjęto z blejtramu, zwinięto i wsunięto pod szafę w jakimś wilgotnym zakamarku. Gdy i tam wreszcie zaczął przeszkadzać, brat pani Manet przyjrzał się raz jeszcze temu „knotowi niemożliwemu do spławienia" i zauważył, że postać strzelającego sierżanta na środku obrazu mogłaby ujść od biedy, jako samodzielny „temat rodzajowy". Nie namyślając się wiele — wyciął sierżanta ze środka płótna — i sprzedał.

Pozostałą resztkę, okaleczoną w sposób zaiste dziwaczny, nabył Vollard. Jakież było jego zdumienie, gdy wkrótce potem spotkał nieszczęsnego sierżanta ze swego obrazu ... na honorowem miejscu, wśród arcydzieł kolekcji innego wielkiego artysty, Degasa, któremu sprzedano sierżanta, zapewniając, że niestety reszta obrazu uległa bezpowrotnie zniszczeniu.

Dowiedziawszy się o barbarzyńskiej operacji, Degas wpadł w pasję: „*Mówię zawsze moim kolegom artystom — wystrzegać się przedewszystkiem rodziny!*" — wrzeszczał jak nieprzytomny.

Poczem nabył od Vollarda pozostałą część obrazu i połączył oba tak niefortunnie rozdzielone kawałki. Wtedy wyszło na jaw, że ... brak jeszcze nóg sierżanta i głowy jednej z figur drugoplanowych. Degas zażądał obu kawałków od pani Manet. Było to niemożliwe: uważając, że te skrawki są już naprawdę nic nie warte, zacna kobieta ... użyła ich jako podpałki do kuchni. Wściekły Degas postanowił skompromitować rodzinę zmarłego mistrza: kazał brakujące miejsca na swym zrekonstruowanym obrazie zakleić białem płótnem, aby świeciły zdaleka, stanowiąc wymowny dowód ... pietyzmu rodzinnego dla dzieł artysty.

Dziś — obraz ten wisi w londyńskiej „National Gallery".

■

Kiedyindziej pewna „amatorka" sztuki upodobała sobie znowu jakaś parcelkę ze wspaniałego dzieła Maneta „Obóz cygański". Pani Manet, nauczona przez Vollarda, wiedziała, że obraz ma wielką wartość. Żądała za niego pięć tysięcy franków. „Miłośniczka" sztuki tyle wydać nie mogła, a ponieważ zależało jej wyłącznie na dwuch główkach dziecięcych, namalowanych *na samym środku* obrazu — postawiła sprawę handlowo: „Dam pani dwa tysiące za te główki — wykroi je pani, one stanowią przecież *piątą część obrazu!* Robi pani świetny interes: w tym stosunku wypadałby pani cały obraz w cenie 10 tysięcy...

Biorąc zakłopotane milczenie pani Manet za dowód zgody, „miłośniczka" porwała leżące na stole nożyczki i już zamierzała wykroić sobie z obrazu upatrzone główki.

Jedno spojrzenie Vollarda oprzytomniło wdowę po artyście. Rzuciła się na ratunek: „Nie, niech pani nie kraje!... Boby mi się zdawało, że pani kraje ciało mego męża" — zawołała.

Co pokrajała przedtem własnoręcznie — tego już biedactwo sama nawet nie mogła spamiętać.

■

André Malraux jest złodziejem! Taką rewelację ogłasza wraz z dokumentami paryski tygodnik literacki „Gringoire". A że znany komunistyczny pisarz francuski ostatnio bardzo stał się modny i w Polsce — może czytelników zaciekawi ten dość charakterystyczny „szczegółik" z jego życia.

Kto zwiedza wspaniałe starożytne świątynie w Angkor w Indochinach, ten łacno zauważy, że w najpiękniejszej z nich wszystkie niemal rzeźby są przy podstawie wyraźnie spiłowane, tak jak gdyby ktoś miał zamiar je wynieść. Tak też istotnie było. Rzeźby nietylko spiłowano, ale ze świątyni zabrano, opakowano pieczołowicie w odpowiednie skrzynie i zamierzano wysłać do Europy, pod adresem jednego z wielkich antykwarjuszy, który miał za nie zapłacić cenę wręcz fantastyczną. Ale władze francuskie przyłapały w porę cenny transport — a gadatliwość jednego z pomocników złodziei, annamickiego chłopaka, pozwoliła też ustalić, kto rzeźby wykradł.

Złodziejem był — pisarz francuski, André Malraux, który wraz ze swym kompanem, niejakim Chevasson, przez kilka nocy zrzędu podpiłowywał podstawy rzeźb, poczem je wykradł.

Oszczerstwo?

Nie. Bo sprawa sądowa się odbyła i w roku 1924 dnia 21 lipca sąd w stolicy Kambodży skazał na zasadzie paragrafu 319 i 401 kodeksu karnego pana Malraux na trzy lata więzienia za „*podstępne przywłaszczenie ze szkodą dla Państwa jedenastu rzeźb starożytnych*".

Pisarz francuski — okradający z dzieł sztuki własne państwo...

„Ideowcy" powiedzą może, że Malraux, będąc komunistą, działał z pobudek ideowych — nie uznając niczyjej własności, a zwłaszcza własności Państwa.

Ale ta sprzedaż w ręce burżuazyjnego antykwarjusza, *za grubą, burżuazyjną gotówkę?*

■

Freuda zmistyfikowała francuska feljetonistka.

Odette Pannetier jest jedną z najzłośliwszych dziennikarek paryskich — et ce n'est pas peu dire...

Jej feljetony w „Candide" nie oszczędzają nikogo: ani premjera, ani ministra, ani wielkiego finansisty, ani znakomitego tenora. Każdy temat jest dobry, byle nie był nudny—uważa pani Odette.

Ostatnio dowcipna feljetonistka wystawiła na sztych — samego Freuda, papieża od psychoanalizy, bożyszcze nowoczesnych psychologów i twórcę teorji, w swoisty sposób uzasadniającej wszelkie stany chorobowe psychiki ludzkiej.

Dostać się do Freuda nie jest łatwo. Starego uczonego stać już na to, żeby nie zajmować się praktyką lekarską. Oddał to swym uczniom. Ale od czego spryt dziennikarski? Pani Odette poszła do jednego z paryskich psychjatrów, uczniów Freuda i wmówiła w niego, że cierpi na manję prześladowczą. Nikt na świecie jej nie uratuje, tylko Freud. Dostała od wzruszonego lekarza bilecik polecający do Freuda.

Bilecik ten jednak po przybyciu dziennikarki do Wiednia okazał się jeszcze niedość skuteczny. Zanim pseudo-chora dostała się przed oblicze samego Freuda, musiała przejść przez gęstą sieć pytań i badań jednego z jego uczniów, który „bogatą" cudzoziemkę chętnie byłby leczył na własne konto, czego bynajmniej nie ukrywał. Pani Pannetier nazywała się w tej mistyfikacji „Madame Dubois" — i podlegała straszliwemu cierpieniu: wszystkie psy ją gryzą — biedaczkę — przynajmniej w jej chorej wyobraźni.

Dziennikarka świetnie wytrzymała swą rolę. „Nabrała" bez reszty młodego psychoanalityka, wmówiła w niego, że jest na granicy obłędu i z uporem manjaczki żądała, żeby leczył ją sam Freud. Nikt inny jej nie pomoże...

No i wreszcie stary Freud zgodził się ją przyjąć. Nieszczęsna „chora" stanęła przed jego przenikliwym wzrokiem i naprawdę trzęsła się ze zdenerwowania: a nuż ją przejrzy nawylot, a nuż odrazu odkryje mistyfikację, a nuż ona jakiemś niebacznem słowem zdemaskuje się i narazi na kompromitację?

Nic podobnego. Freud wziął jej chorobę bardzo na serjo. Postawił w związku z temi „złemi psami" jakąś djagnozę ujemną o jej ... *pożyciu małżeńskiem!* Zażądał przyprowadzenia męża, aby sprawę potraktować najzupełniej zasadniczo. Kazał „chorej" zamieszkać conajmniej na rok w bardzo drogiem, wiedeńskiem sanatorjum. I obiecał łaskawie, że będzie mógł jej udzielić seansu psychoanalizy codzień, licząc „ryczałtowe" honorarjum ... po 100 szylingów dziennnie. (Pierwsza wizyta — 300 szylingów).

Pani Odette obliczyła szybko: wydając tysiąc franków dziennie przez rok albo i dwa — osiągnie wspaniały rezultat: przestanie bać się psów!

Wróciła przeto do Paryża, gdzie, jak pisze, głęboko nad całą sprawą rozmyślała. Nie, nie będzie się kurować u Freuda. Ale zato kupi nową ozdobną obrożę dla swej ulubionej suczki, Chouchouille...

B. P.



Na wyścigach w Ascot w Anglji podziwiano ten stylowy zaprzęg z połowy XIX wieku.

OSOBLIWOŚCI SEZONU

Poniżej: w Ameryce w Stanie Pensylwania, przy potwornej suszy i 42 stopniach upału betonowe nawierzchnie szos trzaskały jak kruche szkło.



TEKLA KNOLL-WITTIGOWA

LIST Z CIECHOCINKA

Jesteśmy obecnie w Ciechocinku — miejscu, gdzie drzewa są zawsze zielone. Właśnie wtedy, gdy pociąg zabiera nas i niesie w daleki, inny świat, drzewa te niezliczone, te jaskrawe klomby, te krzewy, kwitnące nieznanym kwiatem, kryją się cicho pod ziemię, bezszelestnie idą na swe ciemne, tajemnicze miejsca, zasuwając za sobą milczące drzwi i tam śnią, trwają łagodnie aż do następnego roku. Dlatego wszyscy znamy aleje i altany, bujne żywopłoty i gazony, zraszane stale dobroczynnym deszczem wodotrysków, ale nikt nie widział żałosnych, nagich gałęzi, rozmiękłego błota ulic i czarnych badyli zmarłego lata.

Dzieje się tak dlatego, że Ciechocinek jest krajem dzieci — istot, dla których wszystko jest możliwe. One to za pan — brat są z duchami zza pieca, one rozmawiają ze zwierzętami, im wszystko opowiada mały palec, krzesła odrazu zmieniają się w samoloty, a tam, gdzie jest Polska, może odrazu być Afryka i, gdzie jest szczotka do zamiatania, może być czarodziejski struś i może znieść złote jajko na posag dla biednej Zosi, która jest córką praczki.

Z chwilą, gdy pociąg wysypuje nas na tor, który zaraz o krok się kończy, ginie, zarośnięty na zawsze zieloną trawą, z tą chwilą wszyscy stajemy się dziećmi i innych tu wcale niema.

Jedne z nich są trochę chore — boli je rączka lub nóżka. Do tych się mówi łagodnie, kąpie się je w białych pałacach, w głębokich wannach. Do kąpieli wrzuca się czarodziejską gałkę, która zaraz rozpuszcza się w barwę zieloną i żółtą, woda mieni się, perli, przeinacza. Strumieniem silnym, jak zaklęta strzała, tryska z pod ziemi gorąca, czarna, lub mleczna, wciska się w kręte kurki, w głębokich wannach obmywa chore członki i niejednego widziano, który się zwolna wspierał na lasce, gdy pewnego dnia wybiegł na otwarty ogród, między ulice czerwonych pelargonji, wołając „a-y-o!", okrzykiem wesołych indjan, lub marynarzy, wabiąc innych, gotowych już do letnich zabaw.

Każdy tu ma takich, co się nim opiekują. Jedni ich przywożą ze sobą, inni zdobywają na miejscu. W braku ostatecznym — sami są sobie matkami, rodzicami.

— Co zjadłbyś Józiu? — mówi samo do siebie takie dziecko. — Może ciastko? — Za ocienioną werendą kryją się w głębi cukierni piramidy ciastek.

Józio składa usta w pogardliwy ciup, oczami wodzi dookoła, — jest celem uwagi swego opiekuna, tu może sobie pozwolić na grymasy. Ma pięćdziesiąt lat, opalone nogi w białych pantoflach, lekkie, płócienne spodnie, niebieską koszulkę. Nie — Józio nie lubi ciastek, może zje poziomki ze śmietaną. Czasem woli poprostu befsztyk. I pałaszuje go pod życzliwem okiem opiekuna, otoczony słodkim zapachem cebuli na talerzu i petunji z rabaty.

— Tarta marchew z pietruszką i selerem — to samo zdrowie — poucza siostra Marysię. Marysia, to zaczarowana, starsza tęga dama, niemieszcząca się w sukience w kolorowe kwiaty. Po kąpieli najlepiej zdrzemnąć się choć na dziesięć minut — mówi Marysia do swej siostry. Te się opiekują sobą wzajemnie.

Popołudniu dzieci grają w karty. Na werendach krytych, na tarasach, wśród kwitnących doniczek, w ogrodzie, pod gołem niebem, przy stolikach, pokrytych zielonem suknem, walczą o papierowe króle, o ponure karciane damy, składają karty w czwórki, wymachują rękami, srożą się — jak w walce. A smoki zgryzot, straconych wysiłków, tortury niepewności smutnego jutra — daremnie ocierają się o czarodziejskie ściany Ciechocinka: sama nazwa wskazuje, że jest to miejsce dzieci, ich zabaw, ich porań i zabiegów i dzień zwyczajny nie ma tu dostępu.

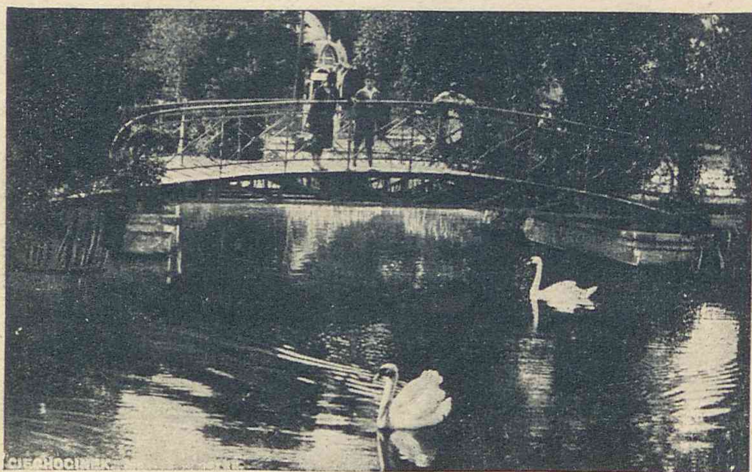
Ale najlepiej jest dzieciom zupełnie zdrowym — gdyż dla nich to urządzono sztuczne, prawdziwe morze. Gdy się wejdzie między dwoma, długiemi skrzydłami budynku po zwyczajnych schodach w otwarte drzwi, to już w przejściu dmie słony wiatr, a natychmiast potem oślepia sto słońc. To w wodzie szeroko rozlanej, wodzie płynącej, wodzie tryskającej i szumiącej, wodzie spadającej odbija się całe światło niebios. Ze ścian budynku płyną na wietrze czerwono-białe sztandary, a zdala dookoła ciemnieją wysokie mury tężniowej twierdzy na znak, że bezpieczeństwo dzicinnego świata dobrze jest strzeżone.

„Dwanaście godzin,
dwanaście godzin,
dwanaście godzin
ja byłem z nią..."

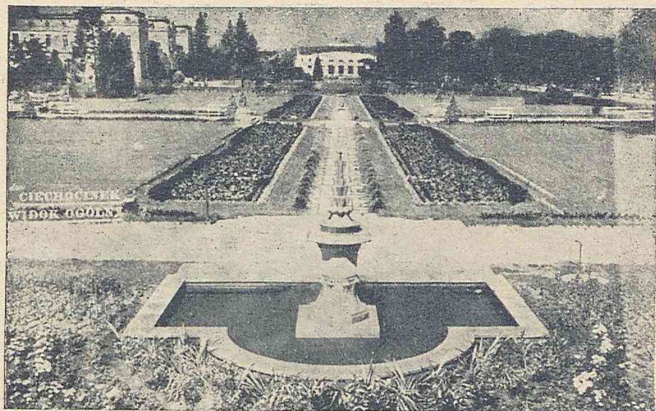
śpiewa muzyka z estrady, biją blachy, gra trąbka, a skrzypce gną się, wiją, zanoszą z ciepłym srebrzystym wiatrem sztucznego morza.

Ach, nie dwanaście godzin i nawet nie dwanaście dni harcują dzieci na swem morzu! Opalone na piękny, ciemno złoty kolor, prawie nagie, ledwo przystrojone w najżywsze kolory, zjeżdżają na ślizgach, skaczą z góry, pluszczą się u płytkiego brzegu, rozbijając w puch i pianę masę wody, a opiekunowie spoglądają na nich z zadowoleniem. Potem na tarasie kawiarni piją wzmacniający kefir i piszą karty, całe stosy kart do ludzi zdaleka, przyklejając czarodziejskie marki...

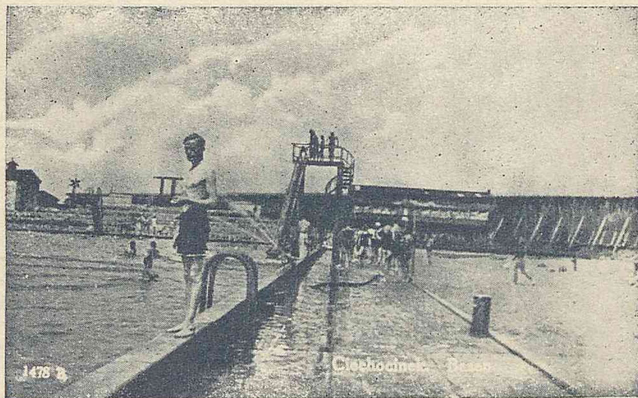
Ale pewnego dnia, na szynach zarośniętych trawą, tuż obok tego miejsca, kędy, okalając olbrzymi czerwony klomb, zdążaliśmy codnia do sztucznego morza, ledwie oddzielony zwyczajnym, drewnianym parkanem, ukazuje się pociąg. Spoczątku wygląda on tro-



Ciechocinek — fragment parku.



Widok ogólny Ciechocinka.



Basen w Ciechocinku

chę sztucznie i niektórzy myślą, że to jedna zabawka więcej. Ale tak nie jest. Zaledwie bowiem dzieci wejdą do pociągu, wnet zjeżdża on z szyn, zarośniętych trawą i rusza w dal, a zwolna widma opuszczonych trosk, niby słupy telegraficzne, zdążają mu naprzeciw. Jeszcze chwila, jeszcze ostatnie spojrzenie na tężniowe mury, jeszcze raz zamigocą dalekie na wietrze sztandary i już nie widać nic.

A wtedy życie rzuca się na nas. Bezbronnych szarpie, dmucha zimnem rzeczywistości, kurzem strapień, smaga szarym widmem. Znowu jesteśmy dorośli, więcej, — starcy jesteśmy, zmęczeni i resztą sił walczymy o jeszcze, jeszcze trochę tego trudnego życia. O uśmiech najbliższych, o spokój wieczoru, o smaczny chleb poranny, o zdrowy trud codzienny — walczymy, wątpiąc, cierpiąc i upadając.

Gdy wiecznie zielone drzewa, równe, zroszone trawniki, róże, klomby i rabaty kryją się cicho pod ziemią do drugiego, do dalekiego roku.

W OFIARNEJ SŁUŻBIE

W czasach obecnych, gdzie materjalizm triumfuje na każdym kroku, a życie pędzi w swym egoiźmie, postać Marji Concetty może służyć przykładem zwycięstwa ducha nad ciałem i bezgranicznego bohaterstwa.

Marja Concetta przyszła na świat na Białej Rusi w rodzinie ziemiańskiej z końcem zeszłego stulecia. Matką Jej była Emma z margrabiów Paulucci. Mając ojca Polaka, a matkę Włoszkę, Marja Concetta nie wyrzekła się żadnej z tych dwóch narodowości; potrafiła z równym zapałem i poświęceniem służyć tak Polsce, jak Italji.

Marja Concetta wychowywała się na dalekich kresach Białej Rusi i w Wenecji. W momencie rozpoczęcia wojny wstępuje do szkoły pielęgniarek w Wenecji i, ukończywszy ją, zaciąga się w szeregi włoskiego Czerwonego Krzyża. Prawie odrazu zostaje wysłana na front. Pierwszy medal dostała za wynoszenie rannych z pod gruzów z narażeniem życia w czasie eksplozji składów amunicji. Ulega wtedy pierwszej kontuzji.

Na niestrudzonej a niebezpiecznej służbie zawsze w szpitalach polowych upływają Marji Concecie lata wojny. Po klęsce pod Caporetto nadeszła chwila odwrotu. Szpital, w którym pracowała Marja Concetta, otrzymał rozkaz ewakuacji. W oblężonym a opustoszałym obozie pozostało tylko kilkudziesięciu ciężko rannych, bohaterski kapelan, i... siostra Marja Concetta. Przez jakiś czas Marja Concetta nietylko zupełnie sama pielęgnowała swych chorych, ale także ratowała ich od głodu, zbierając dla nich żywność. Gdy szpital zajęli Austryjacy, Marję Concettę oskarżyli o szpiegostwo i uwięzili wraz z kaplanem, nie bacząc na prawo nietykalności Czerwonego Krzyża, bo uwierzyć nie mogli w Jej dziwne poświęcenie.

W niewoli Marja Concetta spędziła pół roku w piwnicach fortecy austrjackiej w Lublanie. Stamtąd przewieziono Ją do obozu koncentracyjnego w Katzenau, gdzie przebywała w warunkach niedoopisania okropnych, które nabawiły Ją szkorbutu. Kiedy dowiedziano się o tem po stronie włoskiej, Ojciec Św., polecił swemu nuncjuszowi w Wiedniu zająć się sprawą uwolnienia Marji Concetty. O to samo zabiegał król hiszpański i Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Nakoniec Marja Concetta powróciła przez Szwajcarję do Wenecji. Tu witano Ją jako bohaterkę narodową i przyjmowano Ją z bezgranicznym entuzjazmem. Miasto Wenecja ofiarowało Jej pamiątkowy złoty medal, a panie weneckie złotą bransoletkę w kształcie łańcucha więziennego. Na cześć Marji Concetty urządzono akademję, na której przemawiali wszyscy ówcześni dygnitarze. Doczekała się też największego triumfu, niedostępnego dla kobiet: — wojsko defilowało przed Nią, prezentując broń. (Marja Concetta stała oszołomiona na estradzie, niebardzo rozumiejąc, co się dzieje dokoła). Nastrój przyjęcia, zgotowanego Marji Concecie przez naród włoski, najlepiej charakteryzuje list, jaki otrzymała w tym czasie od narodowego wieszcza włoskiego, Gabriela d'Annunzio.

Brzmi on:

„Może sobie przypominasz, Marjo Concetto Chludzińska, że miałem zaszczyt poznać Cię w ogrodzie naszych wspólnych przyjaciół weneckich, kilka dni po Twoim powrocie z męczeństwa. Niosłaś swoje bohaterstwo tak, jak się niesie kwiaty: z tą samą prostotą i niedbałym wdziękiem. Byłaś bohater-



Ś. p. Marja Concetta z Chludzińskich Józefowiczowa.

ką, którą pochwały dziwią i która nie rozumie swojej sławy, przypominałaś owe błogosławione, które, by stąpać po drogach życia, porzucają aureolę.

Dziś otrzymasz wiele kwiatów, pomyślisz, że są ofiarowane Twoim chorym i rannym, tym cierpieniom, które rozumiesz i pocieszasz. — Pewnie i te moje róże znajdą się u ich wezgłowia. Zatrzymaj tylko jedną, która jest pączkiem na swojej łodydze — „Latet altera"!

Ja i moi towarzysze z pierwszej eskadry morskiej zginamy kornie kolana przed wielką, dzielną, małą siostrzyczką —"

Przyszedłszy do siebie po trudach niewoli, Marja Concetta powróciła do służby szpitalnej dla rannych. Tymczasem nastąpiło zawieszenie broni i krótki okres wytchnienia, w czasie którego Marja Concetta mogła używać zasłużonego wypoczynku. Lecz na pierwszą wieść o nawale hord bolszewickich na Polskę, mimo że Ją zatrzymywano przemocą, schwytała pierwszą okazję przyjazdu do swej drugiej ojczyzny. Zjawiła się wraz z Amerykańskim Czerwonym Krzyżem i odrazu stanęła do pracy.

Przedewszystkiem wysłana zostaje do walki z tyfusem na froncie wołyńskim, potem zaś przechodzi na front ukraiński. Lecz tu wykolejono pociąg polski. w którym jechała siostra Marja Concetta. Wyciągnięto Ją z pod wagonu z połamanemi nogami i głową poranioną szkłem. Wyleczywszy się, znowu staje do pracy.

Jest pielęgniarką w szpitalu św. Antoniego. Zostaje wysłana do Zagożdżona, gdzie był wybuch w fabryce amunicji. Jedzie na wykłady do Krakowa. Po powrocie jest instruktorką i wykłada w I-ej szkole pielęgniarek w Polsce, przy szpitalu Czerwonego Krzyża, mając zarazem nadzór nad wszystkiemi pielęgniarkami, pracującemi w tym szpitalu. Następnie Marja Concetta ma wykłady w szpitalu żydowskim i na kursach, specjalnie zorganizowanych przez Czerwony Krzyż przy Uniwersytecie Warszawskim. Wykłada higjenę, walkę z chorobami zakaźnemi, etykę pielęgniarską, praktyczne obchodzenie się z chorymi, i t. d. i t. d. Jednocześnie pracuje jako pielęgniarka prywatna.

W tym okresie Międzynarodowy Czerwony Krzyż zorganizował kursy specjalne przy uniwersytecie londyńskim. Każdy kraj miał prawo wysłać na nie swą najlepszą pielęgniarkę. Z Polski pojechała siostra Marja Concetta.

Po raz ostatni znajdujemy Ją przy rannych podczas wypadków majowych. Od tej pory poświęca się całkowicie pracy pedagogicznej. Wykładów nie przerywa mimo stale wzmagającej się choroby. Przez dziesięć lat ostatnich była ciężko chora, a w tem przez lat sześć przykuta do łoża; mimo to długo nie chciała zaniechać pracy. Dla tych, co Ją widzieli cierpiącą, choroba Marji Concetty była tylko przedłużeniem Jej heroicznego zaparcia się siebie.

Wśród olbrzymiej ilości 18 orderów i krzyżów, które otrzymała za zasługi na polu walki, przedewszystkiem wymienić należy: najwyższe odznaczenie wojskowe, istniejące we Włoszech, „Medaglia d'Argento al Valore", taki sam medal bronzowy, oraz najwyższy order Czerwonego Krzyża im. Florence Nightingale. Niestety zbrakło pomiędzy niemi choćby jednego odznaczenia polskiego.

W r. 1932 dawna przełożona Marji Concetty, księżna Aosty, dowiedziawszy się o Jej chorobie, pisze:

„Droga Chludzińska,

Myśl o Twych cierpieniach zasmuca mnie.
Nie zapominam, bo tragiczna wizja żyje wciąż we mnie, — klęsk, przez które przeszłaś z pogodą, niebezpieczeństw, które witałaś z odwagą, wiernej wytrwałości w niesieniu pomocy...".

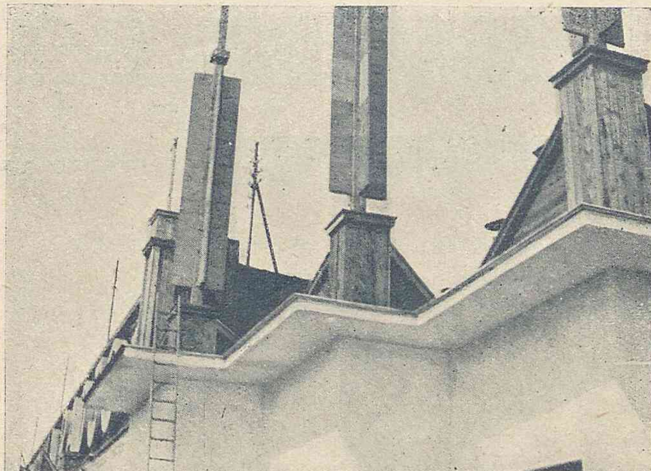
Na wieść o zgonie Marji Concetty Ambasador Królestwa Italji w Warszawie, p. Bastianini, pisze do Jej matki:

„...Nie zapomnimy nigdy wielkości cnót Drogiej Zmarłej; nieskończonej dobroci Jej serca, miłości do Italji, która była natchnieniem Jej szlachetnych myśli i bohaterskich czynów. Pamięć Jej będzie czczona przez Włochów...".

W ten sposób jedna ojczyzna odpłaciła Jej serdeczną i trwałą wdzięcznością, a niestety druga ojczyzna, Polska, dla której Marja Concetta porzuciła bez chwili wahania wszystkie honory, jakiemi Ją darzyły Włochy, nie zdążyła Jej zasług ocenic.

Jeśli przebiegłszy pokrótce Jej życie, które było jednym hymnem umiłowania ojczyzny i obowiązku, uprzytomnimy sobie, że zdołała dokonać tego wszystkiego w tak niewielkim czasie, bo w przeciągu lat zaledwie kilkunastu, — ogrom Jej czynów wobec Jej kruchej, delikatnej i chorej postaci będzie najbardziej przekonywującym dowodem, że nie materja rządzi światem, że wszystko musi ulec przemożnej potędze ducha.

Architektoniczne i artystyczne opracowanie wystawy przemysłu metalowego, elektrotechniki i radjotechniki



Urządzenie w Warszawie wystawy o szerszym zakresie, obejmującym całość życia gospodarczego kraju staje się zagadnieniem niezmiernie trudnem do zrealizowania wobec braku odpowiednich terenów.

Przeznaczone w planie zabudowania Warszawy miejsce na tereny wystawowe na Saskiej Kępie wymagają wydatkowania wielkich sum na ich urządzenie. Ponadto budowa i doprowadzenie ulic i arterji komunikacyjnych, łączących te tereny ze śródmieściem, pociągną za sobą wydatki na uregulowanie dwubrzeżne Wisły, budowę dodatkowych mostów i t. p. inwestycyj, których koszt sięga setek miljonów złotych.

Dlatego wszelkie dotychczas urządzane wystawy nosiły cechy pewnego skrępowania, powodowanego brakiem wielkich otwartych przestrzeni, pozwalających na szeroki rozmach i wielkie ujęcie imprezy. Zamierzenia urbanistyczne, szeroko zakreślające rozbudowę miasta na polach mokotowskich, powzięte ostatnio przez Zarząd m. st. Warszawy pod przewodnictwem Prezydenta P. Ministra Starzyńskiego, projektujące urządzenie wielkiej arterji Alei Marszałka J. Piłsudskiego i linji N. S. oraz specjalne względy spowodowały decyzję przeniesienia Państwowych Zakładów Lotniczych i lotniska wojskowego w inne miejsce.

Organizatorzy Wystawy Przemysłu Metalowego i Elektrotechnicznego mieli szczęśliwą myśl wyzyskania czasowo tych terenów na urządzenie Wystawy. Projekt ten spotkał się z niezmiernie życzliwem poparciem właścicieli terenów — Władz Wojskowych, a w szczególności z poparciem obecnego Pana Premjera Generała Brygady Sławoj-Składkowskiego.

Urządzenie Wystawy było dyktowane koniecznością zaznajomienia Kraju z naszemi możliwościami wytwórczemi dwuch podstawowych gałęzi przemysłu, jakiemi są przemysły metalowy i elektrotechniczny.

Objęty Wystawą teren wynosi około 120 tysięcy metrów kwadratowych, w tem powierzchnia budynków i hal wystawowych wynosi przeszło 15.000 metrów kwadratowych.

Urządzenie poszczególnych działów Wystawy będzie dokonane na podstawie wykazu branżowego. W tym celu należało przystosować teren i hale fabryczne oraz hangary. Teren wymagał uprzedniego splantowania i rozplanowania trawników, kwietników, dróg i chodników. Niskie budynki fabryczne trzeba było podwyższyć, akcentując w pewnych miejscach ich charakter oraz przeznaczenie. Połączenie całości i ułatwienie komunikacyjne między poszczególnemi działami nasunęło konieczność przebudowy i przystosowania wnętrz oraz dobudowy galerji, chodników i podcień.

Tak zbudowano salę zebrań wraz z atrium, pawilony obrabiarek i narzędzi, pawilony hutniczy, działu naukowego, pawilon gospodarstwa domowego, pawilony elektrotechniczne i radja, rzemiosła, komunikacji, motoryzacji, przemysłów pomocniczych i inne.

Pawilony ujęto w ramy zieleni i kwiecia.

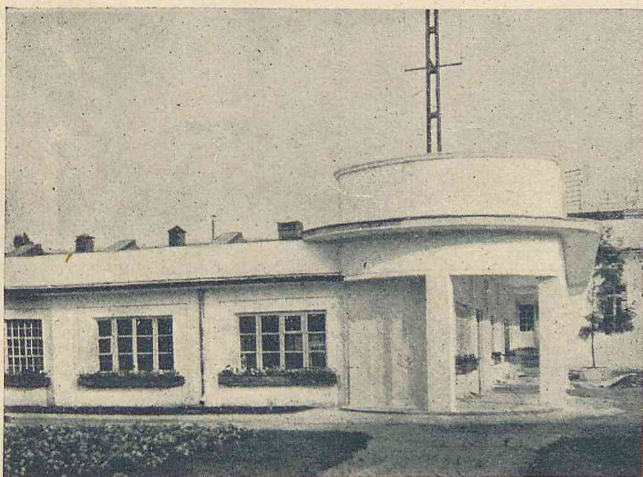
Przy przebudowie i przystosowaniu budynków kierowano się myślą przewodnią, aby stanowiły one zwartą całość, pozwalającą na dalsze ich użytkowanie. Poniechano wszelkiej doraźności, pomijając tandetne efekty barw i modne nowatorstwo. Sam zaś teren pofabryczny przerobiono na estetyczny park, wyzyskując wartości zieleni i kwietników, jako obramienia dla pawilonów i miejsca wypoczynku.

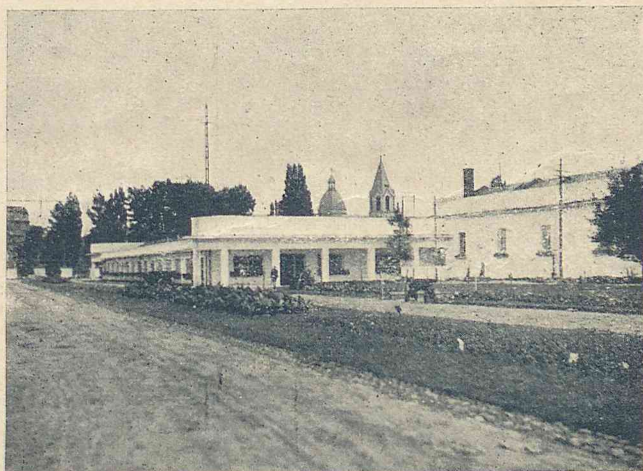
Powodując się zasadą, że zewnętrzna szata Wystawy, ujęta w formy architektoniczne, winna zawsze odzwierciadlać nazewnątrz te wszystkie wartości, które wystawione jako poszczególne eksponaty stanowią jej treść, opracowano w formie plastycznej charakter Wystawy, którym jest szlachetna prostota i wysiłek twórczy bez krzyczącego efekciarstwa i reklamowanej blagi, a tem jest prostota w linjach, wielkie przestrzenie, ujęcie dali, biel ścian, zieleń i kwiaty.

Opracowanie projektu Wystawy oraz kierownictwo budowy zostało powierzone architektom Kazimierzowi Łapińskiemu i Bolesławowi Żurkowskiemu.

Zieleńce i kwietniki wykonane zostały pod kierownictwem P. Dyrektora Danielewicza.

K.





PISZCZAŃSKIE BŁOTA I WODA TERMALNA
TO ŹRÓDŁO ZDROWIA!

Kilka zaledwie tygodni dzieli nas od października, tego najgorszego miesiąca dla *reumatyków, artretyków i ischiatyków*. Deszcze, wiatry i zimno, panujące zazwyczaj w późnej jesieni w Polsce, dotkliwie dają się we znaki osobom, cierpiącym na choroby narządów ruchu. Ciągłe bóle w stawach i mięśniach, oraz dolnych kończynach nerwu kulszowego, potęgują do najwyższego stopnia rozdrażnienie chorego i stają się często przyczyną wszelkich nieporozumień domowych, piekła w rodzinie.

Jeszcze czas, ażeby zapobiec takim ewentualnościom i zawczasu ustrzedz się przed groźnemi następstwami zaniedbanych lub wogóle nieleczonych chorób reumatycznych, artretycznych i rwy kulszowej (ischiasu), poddając się leczeniu zdrojowo - kąpielowemu!

Czyż istnieje na świecie pod tym względem lepsze zdrojowisko, aniżeli Piszczany na Słowaczyźnie?

Woda termalna i muł piszczański o naturalnej ciepłocie około 70°C., są temi czynnikami leczniczemi, które w stosunkowo krótkim czasie przynoszą zupełne wyzdrowienie i *przy najcięższych przypadkach reumatyzmu, artretyzmu i ischiasu!*.

Klimat cudowny, sprzyja leczeniu. Dużo owoców, sport i nadewszystko słońce, oraz siarka i życiodajny muł wprost ze źródeł.

Reumatycy, artretycy, ischiatycy! — czy jeszcze namyślacie się, by wykorzystać sposobność i wziąć udział w 21-o dniowej wycieczce kuracyjnej do

PISZCZAN

organizowanej przez tygodnik „Świat“ w kilku odmianach pomieszczeń i cen w dniach następujących:

sierpień 1936 r. : 16., 22., 26., i 30.
wrzesień 1936 r. : 3., 10., 16., 22. i 28.

Warunki ryczałtowe, obejmują: paszport zagraniczny z wizą, podróż tam i spowrotem pociągiem pośpiesznym 2-gą lub 3-cią klasą, pomieszczenie we własnym jednoosobowym pokoju (za wyjątkiem sanatorjum „Pro Patria“), utrzymanie, nieograniczoną ilość wizyt u lekarza i kąpieli termalnych (zabiegów leczniczych), taksą kuracyjną i podatki, bielizną kąpielową, rezerwowanie kabiny, ubezpieczenie bagażu, oświetlenie.

a) „DOM POLSKI“:	2-gą klasą:	**zł. 660.—**	3-cią klasą:	**zł. 630.—**
b) „KURSALON“:	2-gą klasą:	**zł. 580.—**	3-cią klasą:	**zł. 550.—**
c) „PRO PATRIA“:	2-gą klasą:	**zł. 530.—**	3-cią klasą	**zł. 500.—**

Zgodnie z konwencją, zawartą między Rzplitą Polską i Czechosłowacją, może każdy kuracjusz (szka) wyjeżdżający (a) do Piszczan, zabrać ze sobą z mocy posiadania wizowanego paszportu zagranicznego, wypełniając w banku dewizowym druczek „B“:

Zł. 30. — gotówką i zł. 1. 170. — akredytywą.

Szczegółowe informacje ustnie, pisemnie i telefonicznie:

Administracja tygodnika „ŚWIAT“

WARSZAWA, SZPITALNA Nr. 12,

tel. 5.04-00, 8.86-91.

CZY PANI WIE, ŻE...

... na zmęczenie oczu jest sposób! Bardzo prosty, łatwy i — tani. Pani wraca do domu po kilku godzinach pracy — i czuje, że oczy łzawią, pieką, a wziąwszy do ręki gazetę — spostrzega z przerażeniem, że źle widzi. Proszę się jeszcze nie martwić. Trzeba za kilkanaście groszy kupić w aptece suszonego ziela świetlika lekarskiego. Zaparzyć tego ziela łyżeczkę w porcelanowym imbryczku od esencji — i dać „naciągnąć“ — właśnie taksamo, jak esencji herbacianej. Kiedy napar ostygnie zupełnie, namoczyć dwa małe płatki waty, przyłożyć na oczy — i leżąc potrzymać ten kompres aż się zrobi letni. Wtedy watę znowu zanurzyć w chłodnej esencji, przyłożyć powtórnie — i powtarzać tę operację przez 10 minut. (W ciągu tego czasu zmienimy w ten sposób watę cztery do pięciu razy) Potem delikatnie oczy wytrzeć — i spojrzeć na świat Boży wesoło.

Bo spostrzeżemy odrazu, że wzrok wypoczął, łzawienie ustało, zaczerwienienie powiek minęło, a oczy zrobiły się jakieś większe i znacznie piękniejsze. Stosowanie stałe, codzienne, tego prostego lekarstwa zapewni pani dobry stan wzroku nawet przy wytężonej pracy.

... mole są żarłoczne! A w Warszawie, niewiadomo dlaczego „panują“ niemal cały rok. Poradzono mi na nie sposób przyjemny — który warto wypróbować. Nie znosimy przecież ohydnych, stosowanych dawniej naftalin i kamfor. (W których się zresztą mole lęgły najbezczelniej). Proszę więc do szafy z sukniami i futrami — oraz między jedwabną bieliznę — bo mole jedwab bardzo lubią — włożyć gałązki zwyczajnej pachnącej mięty pieprzowej. Jeżeli pani mieszka na wsi, to na wilgotnych łąkach narwie pani mięty ile zechce. W mieście zaś zadowoli się pani miętą suszoną, której można dostać w każdym składzie aptecznym, za kilkanaście groszy. Miły, orzeźwiający zapach mięty wcale nam w szafie nie będzie przeszkadzał — a mole podobno odstrasza.

Mówię: podobno, bo sposobu tego jeszcze nie wypróbowałam. Nie chcę więc gwarantować. Mogłoby się zdarzyć to, co mi się przytrafiło z innym poleconym środkiem od moli: jedna ze znajomych twierdziła, że wypłoszyła mole, przekładając półki i szafy — suszonemi skórkami pomarańczowemi. Poszłam za jej przykładem — i srodze potem żałowałam. Mole nietylko zjadły mi kilkanaście par jedwabnych pończoch — ale poprostu zalęgły się... w samych skórkach!

... sezon pomidorów należy wyzyskać — zwłaszcza gdy są tak śmiesznie tanie, jak w tym roku. Podam paniom przepis na elegancką potrawę, — przepis ten otrzymałam od znajomej włoszki, gdzie pomidory są, jak wiadomo, potrawą narodową narówni z makaronem.

Wziąć dziesięć dużych, równych, średnio-dojrzałych pomidorów. Poprzekrawać na pół w kierunku poprzecznym — odrzucając całą część z ogonkiem. Wydrążyć łyżeczką pestki i trochę mięsa, poodwracać pomidory, aby sok z nich wyciekł. Po paru minutach odwrócić je, ustawić na ogniotrwałym półmisku, i w każde zagłębienie pomidora wsunąć płatek szynki, ściśle rozmiarów wydrążenia, aby przykryte było tylko dno. Wbić w każdy pomidor jedno jajko. Jeżeli szynka jest dość słona, to posolić do smaku tylko jajka. Pomiędzy pomidory włożyć na półmisek po kawałeczku masła, polać pomidory leciutko oliwą, posypać sproszkowanym majerankiem. Wsunąć do pieca na tyle tylko czasu, aby jajka się ścięły. Poczem przybrać ładnie półmisek, wyjąwszy go z pieca — w przepisie oryginalnym przybranie zrobione było z włoskich oliwek. Ponieważ u nas ich niema, można przybrać poprostu listkami zielonej sałaty.

... plamy z fioletowego atramentu anilinowego schodzą z palców bardzo łatwo, jeżeli je potrzemy watą, zmoczoną w zwykłym spirytusie. Warunek konieczny: nie myć przedtem wodą! Po wodzie—atrament „wgryza“ się w skórę i plama trwać będzie parę dni.

... plamy z czarnych jagód na obrusie lub serwetach schodzą doskonale gdy je, póki świeże, natrzeć sokiem cytryny.

... ścieranie kurzu, jeżeli ma być racjonalne, powinno być dokonywane przynajmniej w pół godziny po zamiataniu, a nie natychmiast, tak jak się to u nas przeważnie praktykuje. Kurz po takiem wytarciu unosi się jeszcze w powietrzu — i opada po pewnym czasie, ku rozpaczy pani domu i wściekłości służącej. Znam dom prowadzony starannie i hygjenicznie, gdzie zamiata się pokoje wieczorem — a nazajutrz rano ściera kurz, który w ciągu nocy zdążył już dokładnie opaść.

... przepisy kulinarne mieszkańców Tunisu bywają bardzo wyrafinowane. Jeżeli znudziły się pani ciągle te same potrawy— oto coś nowego — właśnie z tamtych stron.

Jajka faszerowane groszkiem. Usmażyć na oliwie dwie wątróbki i dwa żołądki kurze, wraz z trochą pietruszki i posiekaną cebulką. Dodać odrobinę wody i funt świeżego zielonego groszku. Ugotować na twardo osiem jaj. Przepołowić — wyjąć żółtka, rozetrzeć je i wmieszać do farszu z groszku i wątróbki. Przepuścić to wszystko przez maszynkę, aby wytworzyć gładką masę. Wypełniać nią czubato twarde białka jaj, tak aby im przywrócić formę całego jajka. Obtoczyć w rozbitem jajku i mące — i smażyć na oliwie.

... sznycle cielęce będą pulchne, jeżeli do smażącego się już na maśle mięsa dolejemy łyżkę wody. Sznycle się nie przypalą i nie wysuszą—co jest najczęstszą ich wadą w wykonaniu naszych Kaś i Maryś. **Dama Pikowa.**

TYDZIEŃ „ŚWIATA"

Gdzie jest Polska?

Mamy więc zapowiedzianą konferencję pięciu mocarstw.

Mocarstwa lokarneńskie będą obradowały.

Zaproszono Niemcy i Włochy i jest komplet.

A gdzież są inni, co swój podpis kładli w Lokarno?

Gdzie jest Polska, Czechosłowacja?

Ileż to słów, argumentów, artykułów umieszczono w prasie polskiej, aby dowieść, że Lokarno, to polski niemal sukces, że obecność nasza tam, to była wielka dyplomatyczna korzyść.

Jakże pięknie inspirował w tym duchu prasę, ówczesny satelita ministra spraw zagranicznych, szara eminencja propagandy polskiej na zachodzie, pan radca Anatol Mühlstein. Grzmiał, jak trąba jerychońska, lub tajemniczo szeptał, gdyż należy on do tej nieszczęsnej ekipy lokarneńskich dyplomatów polskich, co niesprzeciwianie się złu, uważali za szczyt mądrości dyplomatycznej!

Nie urazić, nie przeszkadzać, nie stwarzać z Polski próbnego kamienia szczerości zobowiązań międzynarodowego bezpieczeństwa! To było hasło informatorów - sekretarzy, którzy omotali swemi informacjami ś. p. Aleksandra Skrzyńskiego, ówczesnego naszego ministra.

A skoro wówczas zabrakło umiejętności i hartu, aby nie dopuścić do rozbicia bezpieczeństwa na zachodzie i wschodzie, to po fakcie — starano się i z tego dokumentu wyłuskać sukcesy dla Polski.

Dziś bolesna rzeczywistość obuchem wali po głowie. Dowodzili nam usypiacze opinji polskiej po Lokarnie, że tam Polska była jak równa z równymi.

Od tej pory minęło 11 lat. Polska stała się wielokrotnie silniejsza, a mimo to porządek dyplomatyczny jest ten sam. Najpierw konferencja trzech. Na niej zwołuje się konferencję pięciu.

Zaprasza się na nią nawet tego, co wymówił pakt Lokarna.

O *doproszeniu* Polski i innych dopiero się... mówi.

Więc niechże nam nie mącą oczu, że to niby mają obradować ci panowie z paktu reńskiego! Komunikat po konferencji trzech w Londynie głosił, że głównym celem obrad jest „ogólne uregulowanie europejskie". Nie o sprawy Renu więc tylko chodzi

Dziś sprawy Renu nie dadzą się już oddzielić od innych.

A zresztą fakt dokonany przez Niemcy nad Renem — nazywa się już dyplomatycznie tylko... „inicjatywą niemiecką".

Preludja już odegrano. Uwertury podporządkowano cwałowaniu Walkirji. Kto wie, może bawiący obecnie w centrali pan Mühlstein, zapowiedziany nam przyszły polski poseł w Kopenhadze i ten par excellence lokarneński stan rzeczy skomentuje jako zapowiedź sukcesów!

Czerwona i biała krew

Walki hiszpańskie trwają nadal. Z obu stron słyszymy o sukcesach. Obie strony wzajemnie się oskarżają o niesłychane okrucieństwa. Mocarstwa mniej lub więcej sąsiednie... baczą, aby nie pogwałcono neutralności. Mimo to kilogramy złota hiszpańskiego przewiozły aeroplany hiszpańskie do Paryża, Londynu, Berlina! Mimo to aeroplany włoskie zdemaskowała katastrofa u wybrzeży Afryki.

Wszyscy jesteśmy przeciw wojnie.

Ale nie logika rządzi światem.

Włoch co przelewa krew abisyńską jest napastnikiem. Chińczyk, którego oprymuje Japończyk, jest napadnięty.

Wojnę między Szwajcarją a Luksemburgiem należałoby poskromić.

Ale hiszpanie mogą mordować hiszpanów!

Aeroplany białe czy czerwone mogą bombardować miasta.

Artylerja „czerwona" może w perzynę obracać kościoły i klasztory, a działa „białe" rozwalać ministerja i domy ludowe.

Krążowniki hiszpańskie mogą zatapiać hiszpańskie transportowce, wiozące hiszpańskie wojska!

To nie wojna!

Kilkadziesiąt tysięcy ofiar w ludziach, okopy w sercu kraju, całe miasta zbombardowane — to nie wojna! Temu neutralnie ma się przyglądać Liga Narodów, cały świat. Tak każe prawo międzynarodowe!

Ładne prawo!

Na tem prawie oparte są wszystkie traktaty i pakty — dlatego pewnie burzą je dokonane fakty!

Niemcy w Algesiras

Marzeniem politycznym Wilhelma II-go było zdobycie mocnej pozycji na morzu Śródziemnem. Pamiętamy „le coup d'Agadir", pamiętamy wizytę niemieckiej „Pantery" — było to przed wojną. Dziś stało się coś podobnego. Krążownik „Deutschland" przybył do Ceuty. Oficerowie niemieccy oficjalnie złożyli wizytę gen. Franco. Powitały gości salwy przepisowe, cały więc akt miał charakter dyplomatyczno-oficjalny.

W Gdańsku wizyty komisarzowi Ligi nie składa się, ale w Hiszpanji generałowi — wodzowi powstania, owszem.

Niemcy zdecydowanie zaznaczyły swą obecność na wodach morza Śródziemnego. Zdecydowanie podkreśliły, że je interesuje przebieg walki i, że interesuje je ta część Europy.

Tak jest dziś — tak było przed wojną, kiedy to posiadanie oparcia śródziemnomorskiego dla floty niemieckiej miało uzupełniać parcie w kierunku „Berlin — Bagdad".

Wojny bałkańskie, zwycięstwa nad Turcją, powstanie silnej Jugosławji, która zagrodziła półwysep i zahamowała pochód via Austro-Węgry, były dla Niemiec ciosem. Nie pogodziły się z nim łatwo. Dwie bojowe jednostki pierwszorzędnej wagi: „Goeben" i „Breslau" zjawiły się na tych wodach. Ich portem był Konstantynopol. Podczas wojny Dardanele broniły ich. Obecnie, po raz pierwszy od tego czasu, sztandar wojenny marynarki niemieckiej zjawił się na wodach śródziemnomorskich, nie jest to fakt pośledniego znaczenia.

TEATR

TEATR POLSKI: „Dziewczęta i Oni" komedja w 3-ch aktach Buss - Fekety'ego. Reżyserja K. Borowskiego. Przekład z węgierskiego Ireny Koralowej.



Woskowski, Żeliska, Brodniewicz

Pani Piaskowska robi świetny coctail.

W jej domowym barze, w którym jest finezyjną barmanką raczy się nietylko mecenas-garbus Woskowski. Coctail to o dość skomplikowanej recepcie. Składa się z różnych pierwiastków: 3 deka sentymentu szczerego p. Żabczyńskiej, 2 deka jej łez bezpośrednich, 10 deka timbre'u głosu głębokiego i kilo jej talentu — to jedna porcja; szczypta wesołości p. Żeliskiej, łyżeczka jej humoru, dwie łyżki dessous, ½ kilo zgrabnych nóg, doświadczenie z ról rozbrykanych dziewcząt — do smaku — to druga porcja; nieco inteligentnego djalogu Piaskowskiej, łut pięknego głosu, na końcu noża — przeżywania — to trzecia porcja. Wszystko dobrze wstrząśnięte, skłócone i przepis gotowy. Z tej mieszaniny jednak, pomimo, iż wszystkie trzy młode artystki dały maximum dobrej woli i chętnie szafowały talentem i zdolnościami, nie dało się zrobić wieczoru teatralnego o jakim takim poziomie. „Dziewczęta i oni" — to jeszcze jedno nieporozumienie teatralne. Można uważać, że tylko lekki repertuar — owszem!

Można niezawsze wymagać aby T.K.K.T. uczyło, krzewiło, było na poziomie! Można powiedzieć — ludzie chcą się bawić, pośmiać, zapomnieć o troskach! Dość tych krytycznych morałów!



Żabczyńska, Węgrzyn, Konrad

Dobrze.

Uwzględnijmy ten punkt widzenia.

„Podwójna buchalterja" — jest głupia, bez poziomu, ale istotnie ludzie się śmieją. Jest w tym zasługa Dymszy, a nie autora. Ale śmieją się, odrywają od dnia codziennego. Nic tam się nie krzewi — ale utylitarna, naturalna potrzeba wyśmiania się, jaką homo sapiens posiada, zostaje zaspokojona.

Na „Dziewczętach i onych" byłem wskutek wakacyjnych czasów nie na premjerze. Publiczność była zwykła, płacąca za miejsca — nie śmiała się!

Sąsiedzi może patrzyli na wysiłki artystów i artystek i martwili się. Martwili się, że się nie bawią. Nuda spacerowała po widowni — nawet w palarni nie dała się uwędzić.

Cóż z tego, że Borowski reżysersko starał się o zespół, że Węgrzyn, Socha, Łuszczewski, Wroncki byli tymi, którzy uzupełniali trzy wyżej wymienione artystki. Wszyscy wykazywali, że są zdolni, staranni i, że „Bus-Fekety" — jest płaskim sprzedawcą sytuacyj oklepanych i wyeksploatowanych przezeń do niemożliwości.

L. Ch.

GRETA GARBO W PENSJONACIE

(NOWELA)

Że Ewa jest uderzająco podobna do Grety Garbo — o tem mówiło już wiele osób: adwokaci, aplikanci, klienci w biurze, gdzie pracowała w charakterze sekretarki i stenotypistki.

Również pan radca Szeköly, człowiek poważny i stateczny, który bywał w kinie trzy lub cztery razy w ciągu roku — i to tylko poto, by zrobić przyjemność swej małej siostrzenicy kosztem własnej cierpliwości, powiedział pewnego razu do Ewy podczas dyktowania jakiegoś listu:

— —Wczoraj nareszcie widziałem tę słynną Garbo i muszę przyznać, że rzeczywiście jest Pani do niej bardzo podobna. Pan radca Szeköly siedział obok Ewy i wpatrywał się w jej profil.

Istotnie Ewa była zdumiewająco podobna do „białego płomienia Szwecji": tem sam profil, czoło, oczy, usta, podbródek. Tylko cera nieco żywsza. Jedna z koleżanek biurowych stale mawiała:

— Gdybyś ty, Ewo, miała bardziej anemiczny wygląd... Na twojem miejscu piłabym codzień naczczo łyżkę octu...

Ten brak bladości nie przeszkadzał widocznie młodemu aplikantowi, Stefanowi Szandö, który flirtował z nią zawzięcie przez cały miesiąc. Powtarzał często tonem wymuszonego żartu:

— To zupełnie tak, jakbym całował samą Gretę Garbo...

Mniemał, że na przelotnych iluzjach buduje trwały fundament miłosnego stosunku z Ewą. Przekonał się jednak bardzo szybko, że nic nie może go tak rozczarować, jak kopja arcydzieła, skoro sam oryginał jest czemś nieosiągalnem.

Zato Ewa zakochała się na serjo w Stefanie, który nie był dla niej żadnym ideałem, ani fantomem, lecz tylko reprezentował typ młodego, zdrowo myślącego człowieka. To też, kiedy stojąc na gruncie swego materjalistycznego światopoglądu, zaręczył się z córką redaktora, jednego z najpoczytniejszych pism budapeszteńskich, wygląd Ewy zmienił się bardzo: zmizerniała i pobladła, co ją jeszcze bardziej upodobniło do słynnego sobowtóra.

Pod presją pana radcy Szeköly'ego Ewa udała się do lekarza, który, stwierdziwszy ogólne osłabienie i wyczerpanie nerwowe pacjentki, kazał jej bezwzględnie wyjechać na czterotygodniowy odpoczynek.

*

Kiedy Ewa wysiada z autobusu przed pensjonatem, znajdującym się w niewielkiej miejscowości o kilka godzin jazdy od Budapesztu, przed domem stoi Franciszek Tomanyi i, przysłoniwszy ręką oczy od bijącej w nie jasności słonecznej, patrzy na drogę.

Franciszek Tomanyi jest już dorosłym młodzieńcem. Właśnie przed kilkoma tygodniami otrzymał świadectwo dojrzałości i po całorocznem przygotowaniu się do egzaminów zażywa odpoczynku na wsi, w pensjonacie swojej cioci. Franciszek ma jedną wielką pasję: kino. I jedną jeszcze większą: Gretę Garbo. Posiada w domu olbrzymi zbiór fotosów swej uwielbianej artystki, jeden z nich nawet przez nią własnoręcznie podpisany. Marzy o tem, by kiedyś znaleźć się w Hollywood i osobiście zobaczyć Gretę. Oddałby za to cały rok życia.

Ujrzawszy Ewę, wysiadającą z autobusu, Franciszek blednie, chwyta się kurczowo drążka od furtki i nagle, odwróciwszy się, pędzi, jak strzała do cioci, która w tej chwili wychodzi z kuchni, niosąc wielki talerz sałatki majonezowej. Chwila — i cała zawartość talerza rozpryskuje się wokoło od niespodziewanego ciosu Franciszka. Ten zaś, nie zważając na głośne biadanie cioci, krzyczy na cały pensjonat:

— Greta Garbo przyjechała! Hurra! Nie martw się, cioteczko, z powodu tego głupiego majonezu! Pomyśl, co za nadzwyczajna reklama dla twego pensjonatu!

Przy śniadaniu — ploteczki. Naogół goście jeszcze niezupełnie wierzą w to, że cała historja z Gretą Garbo odpowiada prawdzie. Coprawda Franciszek zaklina się na wszystkie świętości, że widział Gretę Garbo, wysiadającą z autobusu przed pensjonatem, a pani profesorowa Tomacs, młoda, smukła szatynka, o wielkich dziecinnych oczach, nieśmiało probuje potwierdzić jego zdanie, mówiąc, iż czytała w jakimś tygodniku filmowym, że Greta Garbo już od miesiąca w najściślejszem incognito podróżuje po Europie i że w lipcu, to jest właśnie mniejwięcej teraz, ma przybyć do Budapesztu na zaproszenie jednej z wytwórni filmowych. No, nareszcie Franciszkowi robi się lżej, bo znalazł się ktoś, kto potwierdził jego domysły!

— Kto wie zresztą? Zajęła pokój na pierwszem piętrze... To są pokoje zarezerwowane dla wyjątkowych gości, są droższe prawie dwukrotnie od innych... — powiedziała ciocia.

Kiedy Ewa podczas obiadu schodzi do jadalni i zajmuje mały stolik, stojący w rogu obok okna, siedem par oczu ciekawie zaczyna się w nią wpatrywać. Teraz już goście nie wątpią, że to nikt inny, jak Greta Garbo. Pomyłka jest wykluczona.

— Jaka ona jest dziwnie bezcielesna... — mówi pani Gyulö, żona skrzypka z Debreczyna, wielka snobka: lubi górnolotne wyrażenia, których albo zgoła nie rozumie, albo wpycha je w najmniej odpowiednie miejsca w rozmowie. Tak się jakoś astralnie zachowuje, jak z innej planety...

— W księdze pensjonatowej figuruje, jako Ewa Ujhely, stenotypistka, lat 24, z Budapesztu. No, oczywiście, to może być jej pseudo. Ma nadzwyczajnie delikatny, arystokratyczny charakter pisma, zupełnie nie jak stenotypistka! — zauważyła gospodyni.

Panie szeptały ciągle, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę Ewy, która jadła bez widocznego apetytu. Kilka łyżek zupy, jedno jajko, płatek szynki. Nie tknęła legominy ani deseru. Pani Gyulö odesłała natychmiast swój deser do kuchni, twierdząc, że nie jest głodna. Pani profesorowa Tomacs w najgłębszej tajemnicy zatelefonowała do swej przyjaciółki w Budapeszcie, że do pensjonatu, w którym bawi, zawitała incognito Greta Garbo.

*

Naczelny redaktor wielkiego budapeszteńskiego pisma dzwoni do swego młodego współpracownika:

— Pan zechce przygotować się do wyjazdu. Odbędzie pan wywiad z Gretą Garbo, która bawi incognito w pensjonacie jednej z miejscowości pod Budapesztem. Za piętnaście minut podam panu dokładny adres... Tylko proszę, żeby ten wywiad nie zajął więcej jak jedną szpaltę.

*

Franciszek Tomanyi bardzo źle śpi tej nocy; o godzinie szóstej rano jest już ubrany, o dziewiątej, oparty o ścianę korytarza na pierwszem piętrze, spotka Gretę, wracającą ze śniadania. Uśmiecha się do niego. Wypowiada kilka banalnych słów z iście monarszym spokojem Krystyny, królowej Szwedów. Potem idzie do swego pokoju i, ubawiona całem qui-pro-quo, którego nie myśli wyjaśniać, zaczyna się ubierać. Spostrzega, że w wazonie stoją świeże kwiaty, a łóżko jest zasłane nowiutką jedwabną kapą.

O piątej popołudniu pokojówka oznajmia jej, że jakiś pan pragnie z nią mówić: Ewa każe prosić. Przyjmuje, nie będąc nawet specjalnie ubraną, z rozwichrzonemi włosami. Greta często ukazuje się właśnie w takim artystycznym nieładzie.

— Co? Ty? To coprawda możliwe...

Stefan Szandö stoi na progu. Jest trochę zmieszany, usiłuje zachować spokój.

— Jeżeli pan redaktor pozwoli, będę odpowiadała siedząc — mówi Ewa.

— Ależ, Ewo!

— Nie, drogi panie, — Greto!

— Nie żartuj!

— Nie żartuję! Wszak przybyłeś tu, aby zrobić interview z Gretą Garbo. Proszę, wyjmij swój notes, ołówek, no, proszę! Cóż cię interesuje? Powiedz swym czytelnikom, że pozdrawiam ich serdecznie, że lubię ogórki, że moją najulubieńszą potrawą jest gulasz z papryką, że kocham czardasza i Tokaj. Jak mi się podobają Madziarki? Nadzwyczajnie zwłaszcza brunetki, córki bogatych redaktorów wielkich pism stołecznych. Co się tyczy mężczyzn, to chyba wiesz, co o nich myślę: dość ograniczeni, niebardzo szlachetni, zwłaszcza w postępowaniu z takiemi kobietami, które nie mogą im dopomóc w osiągnięciu karjery...



—— Ależ Ewo...

— Niema żadnej Ewy! Jest tylko Greta Garbo! Dla ciebie nigdy nie byłam Ewą, tylko Gretą! Boską Gretą Garbo! Proszę, oto wszystko, co miałam w tym wywiadzie do powiedzenia. Proszę do tego ani nie dodawać, ani nic stąd nie odejmować. A teraz żegnam pana, bo czeka na mnie dyrektor Metro - Goldwyn - Mayer, który tu za mną przyjechał.

Gdy Stefan opuścił pokój, Ewa poczęła chodzić tam i zpowrotem, jakby nie mogąc nabrać oddechu. Potem spakowała walizki, włożyła płaszcz, zadzwoniła na pokojówkę i zażądała rachunku.

Gdy przechodziła przez korytarz, dostrzegła Franciszka, stojącego nieruchomo i wpatrującego się w nią szeroko rozwartemi oczami.

Ewa obejrzała się dokoła. Korytarz był pusty. Zbliżyła się szybko do chłopca i mocno pocałowała go w usta.

— Ten z pewnością nigdy nie zapomni pocałunku Grety Garbo... — pomyślała.

(tłum. M. O).



ŚWIAT FILMU

Czy wiecie że...

Cecil B. de Mille, przed rozpoczęciem każdego ze swych filmów, spędza całe miesiące na studjach, zbieraniu materjału historycznego i kostjumowego. Przypisuje on wielką wagę do najdrobniejszych nawet szczegółów i zbiory jego zawierają najdziwniejsze nieraz przedmioty i akta. Parę lat temu spotkał on w jednej z restauracyj hollywoodzkich znanego rysownika, Willa Jamesa, słynącego ze swych studjów koni i jeźdźców.

Zgadało się przypadkiem o tem, jakie ruchy wykonywuje jeździec w chwili ujeżdżania dzikiego konia. James, chcąc poprzeć swoje argumenty, szybko zrobił kilka szkiców na obrusie restauracyjnym. Po skończonej kolacji de Mille nabył od zdumionego restauratora ów obrus. Obecnie rysunki Willa Jamesa posłużą mu, jako szkice pomocnicze przy projektowaniu kostjumów dla Gary Coopera do filmu „The Plainsman".

POLSKA AWANGARDA FILMOWA

Awangarda filmowa w Polsce powstała stosunkowo dość późno, bo dopiero w roku 1926 grupa malarzy i plastyków krakowskich zakłada, pod przewodnictwem obecnego rektora Akademji Sztuk Pięknych prof. Tadeusza Pruszkowskiego, stowarzyszenie „Awangarda". Związek ten poświęcał się w znacznej mierze studjowaniu działalności awangardy obcej.

Rok 1930. Grupa młodych filmowców zakłada w Warszawie Stowarzyszenie miłośników filmu artystycznego „Start" z Aleksandrem Fordem i Eugenjuszem Cękalskim na czele. Następuje start polskiej awangardy. Powstaje pierwszy polski film awangardowy reżyserji Aleksandra Forda p. t. „Nad ranem" — impresje z życia Warszawy. Impresyjnym filmem jest również powstały nieco później „Świt, dzień i noc Warszawy" Cękalskiego.

Polska awangarda filmowa nie obeszła się bez obcych wpływów, szczególnie niemieckich i sowieckich, (Richter, Eisenstein, Pudowkin).

W roku 1933 wydana zostaje ustawa filmowa, na mocy której te filmy krótkometrażowe, które uzyskają od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych kwalifikację „artystyczny", albo „kształcący", otrzymują przywilej obniżania podatku widowiskowego.

Awangardowcy rozpoczynają ożywioną działalność.

Największe uznanie zdobył sobie awangardowy film Aleksandra Forda p. t. „Na start" (scenarjusz M. Emmera). Był to impresyjny reportaż sportowy, pokazany poetycko na filmie.

Droga awangardy filmowej nie kończy się na krótkim metrażu. Zagranicą wielcy twórcy sięgnęli już dawno do filmu długometrażowego. I tak powstały arcydzieła tej miary, jak „Niech żyje wolność" Claira, „Dezerter" i „Matka" Pudowkina, „Braterstwo ludów" Pabsta i wiele innych. W Polsce pewne próby w tym kierunku poczynił Aleksander Ford, realizując już trzy awangardowe filmy pełnometrażowe: „Mascotte", „Legjon ulicy", „Przebudzenie" oraz ostatnio „Drogę młodych".

Polska awangarda filmowa kroczy dumnie, godna swej nazwy straży przedniej, w walce o przyszłość polskiego filmu. Argumenty awangardowców są tak mocne i przekonywujące, że swoją siłą utorują nową drogę polskiej produkcji filmowej. Niestety, publiczność nasza nie zwraca uwagi na filmy krótkometrażowe, zwane popularnie dodatkami, a właśnie wśród nich znajdują się prawdziwe perełki, które tak, jak „Na start", ratują honor polskiej produkcji w oczach zagranicy.

P. Wl.

Czy wiecie że...?

...w filmie „Chińskie złoto" (The General died at dawn), w którym role główne odtwarzają Madaleine Caroll i Gary Cooper, rolę chińskiego generała powierzono świetnemu aktorowi charakterystycznemu, Akimowowi Tamirowowi. Tamirow zwrócił uwagę na siebie uwagę prasy i publiczności w filmach „Ostatnik posterunek" i „Pokusa" (rola szefa policji w San Sebastian).

...Akim Tamirow ukaże się również w filmie „Królowa dżungli", której obsadę już skompletowano. Obok Steffi Duna ukażą się pozatem Ray Millan, sir Standing.

...Paramount zaangażował Leopolda Stokowskiego, słynnego dyrygenta filadelfijskiej orkiestry filharmonicznej. Stokowski dyrygować będzie orkiestrą do filmu po raz pierwszy w swej karjerze muzycznej. Będzie to obraz „Big Broadcast 1937", reżyserji Mitchella Leisena.

Głosy prasy o „Błękitnej Paradzie"

Rzadko ogląda się na ekranie bardziej porywającą komedję muzyczną, niż najnowsze dzieło Freda Astaire i Ginger Rogers... Na „Błękitną Paradę" składają się melodyjne piosenki, tańce wspaniałe, subtelny dowcip — przyczem każdy z tych składników jest swego rodzaju doskonałością".

(World Telegram").

Fred Astaire i Ginger Rogers wesoło przesuwają się przez sceny „Błękitnej Parady", która chyba jest ich najlepszym, najbardziej brawurowym filmem... Zespół Rogers-Astaire jest u szczytu swej sztuki.

(„N. Y. Sun").

...Dowcipny, wesoły, melodyjny i ładny film „Błękitna Parada" jest rozrywką najprzedniejszego gatunku... Jest to jeszcze jeden triumf na liście Freda Astaire i Ginger Rogers.

(„Daily Mirror")

Zespół Fred Astaire-Ginger Rogers znowu zabłysnął na ekranie w filmie „Błękitna Parada". Zarówno, gdy tańczą — razem, lub oddzielnie — jak gdy śpiewają zabawne i melodyjne piosenki Irvinga Berlina, lub wreszcie, gdy prowadzą żywy i dowcipny djalog — nieprzerwanie wprawiają nas w zachwyt.

(„Daily News").

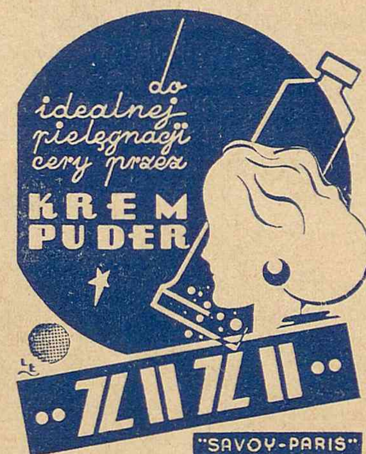
W przededniu otwarcia kina „STUDIO"

Od sześciu miesięcy wre praca w Pasażu Italja. Sztab specjalistów przygotowuje się do ostatecznej próby, która ma dowieść Warszawie, że powstało najbardziej nowoczesne kino w stolicy.

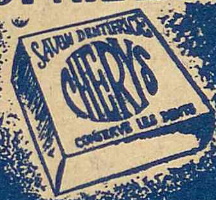
Tymczasem uprzejma Dyrekcja nowopowstałego kina „Studio" udzieliła ciekawych szczegółów o repertuarze.

Dowiadujemy się więc, że repertuar kina „Studio" reprezentować będzie dwie zasadnicze linje. Jedna linja pójdzie w kierunku „Gwiazd" i wielkich nazwisk, druga natomiast w kierunku nowatorsko - awangardowym. Połączenie tych dwóch kierunków powinno najbardziej odpowiadać charakterowi tej nowej placówki.

Z listy zakontraktowanych przebojów, warto nadmienić kolejność wyświetlania poszczególnych filmów; otóż na otwarcie sezonu (w połowie sierpnia) rewelacja muzyczna Braci Marx, dalej Charles Boyer w „Mayerlingu", Sylvja Sidney w filmie M. G. M., w listopadzie polski Radjoprzebój z „Lwowskiej Fali" więc Szczepko, Tońcio i pan Strońć.









REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

RECENZJE FILMOWE

„Niesamowity Dom" Rialto

Gdy film ma „niesamowitość" już w tytule i gdy jest wyświetlany w okresie letnim, nie można sobie nigdy obiecywać po nim zbyt wiele. Widzieliśmy już dużo takich filmów, ale zaledwie parę z nich zasługiwało na wyróżnienie.

„Niesamowity Dom" nie jest niestety, wyjątkiem. Scenarjusz, opracowany według recept na powieści Wallace'a, ma za zadanie utrzymania napięcia aż do samego końca filmu, gdzie następuje możliwie najmniej oczekiwane rozwiązanie.

„Niesamowity Dom" to makabryczna historja szeregu morderstw w hypnozie, zdumiewająco rozwikłana przez zdolnego detektywa (Edmund Lowe). Trup pada gęsto. Wypadek na wyścigach, upadek z autobusu, zagadkowy mord przeplata „urozmaiconą" akcję. Dla publiczności bardziej wymagającej i mniej rozmiłowanej w atmosferze przestępstw dodano naiwny flircik bohatera - detektywa z przypuszczalną sprawczynią morderstwa (Virginja Bruce). Też milutki pomysł.

Przemyślna reżyserja starannie tuszuje wrażenie niesamowitych morderstw żółwiem tempem akcji, zbytecznemi i rozwlekłemi djalogami i zupełnem wyeliminowaniem pierwiastku kinowości — ruchu.

Nadprogramowa krótkometrażówka tejże Metro Goldwyn Mayer odznacza się kryminalnemi wprost pomysłami farsowemi. Ordynarny, ciężki humor amerykański w najgorszym stylu.

Przyjemnie wyróżnia się inteligentnem ujęciem reportaż z prac wykopaliskowych osady bagiennej w Biskupinie pod Żninem i urozmaicony dodatek Pata.

„Syn Admirała" Atlantic

Nazwisko reżysera Franka Borzage'a, mogłoby wystarczyć — nie widząc filmu — za rękojmię, dobrej oczywiście, klasy obrazu.

Tym razem wytwórnie Warner Bros na ekranie kina „Atlantic" prezentuje nam film z życia kadetów U. S. A. Navy film o wartkiej choć błahej może akcji. Dużo już widzieliśmy filmów, opartych na życiu marynarki wojennej. Były różne: mniej i więcej udane, smutne i wesołe, jednak przyjemnie jest znów popatrzeć na morze i okręty bojowe, nie zastanawiając się nad tendencjami. Morze ma dla nas dużo uroku i pociąga ku sobie czarem egzotyzmu.

Film obrazuje metamorfozę syna admirała, który rezygnuje z karjery śpiewaczej, by przejść do twardej służby marynarskiej, który z wdzięcznego sybaryty staje się równie miłym marynarzem i towarzyszem obowiązku. Z roli swej wywiązał się Dick Powell zupełnie dobrze, grał szczerze i bezpretensjonalnie, a piosenki przez niego wykonane, miłym choć nie wielkim tenorem, łatwo wpadają w ucho i są naprawdę ładne. Aktor ten może nienazbyt piękny, gra z dużą kulturą i umiarem.

Wcale nieźle sekunduje mu, nieładna i mdła trochę, Ruby Keeler.

Tańczy z dużym wdziękiem i, choć gra jej nie stoi na wyżynach kunsztu aktorskiego, ale wiele jej można wybaczyć dla dużych, niebieskich oczu.

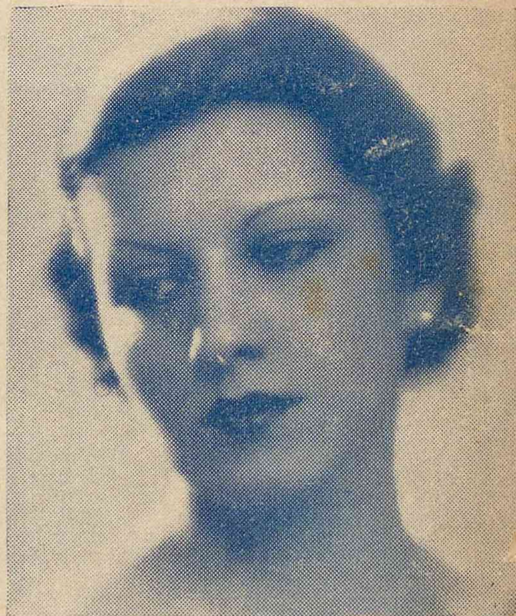
Lewis Stone, jak zawsze niezawodny w rolach starszych wojskowych — do twarzy mu w mundurze i szlifach admiralskich; szkoda, że rola jego nie jest większa.

Oddzielny ustęp należy się za dobrą grę czterem aktorom bardziej drugoplanowym: John Arledge, Ross Alexander, Eddie Acuff i Dick Foran, wywiązali się ze swego zadania.

Dobry, pogodny, choć szablonowy film. Osobiście jednak wolałbym, żeby bohater nie stał się oficerem marynarki, żeby śpiewał dalej. Bo śpiew to też praca, a „rozsądek" czasem jest głupi. *J.*



Na ekranie kinoteatru Atlantic ukazała się w filmie p. t. „Syn Admirała" sympatyczna para śpiewających kochanków Ruby Keeler i Dick Powell, których talent, wdzięk i młodzieńcza werwa podbijają serca wszystkich przyjaciół kina.



Pieśniarka węgierska p. Adamina Piry występuje z powodzeniem w „Paradis" w Warszawie.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa